Str. 4

FANTAZJA I RZECZYWISTOŚĆ

BIMBER W BIAŁYM MERCEDESIE

Str. 1 i 6

NOWY PUNKT NA MAPIE

Str. 3

OPERACJA BERLIŃSKA

Str. 10

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 17 (907) 24 KWIETNIA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

„Jesteśmy obok siebie i byliśmy zawsze razem" – pisze z okazji Dni Kultury Radzieckiej Jerzy Wilmański. Historia naszych kultur jest tego niezaprzeczalnym dowodem. Omawiając te wydarzenia kulturalne i przeżycia artystyczne jakich dostarczyli nam nasi radzieccy przyjaciele autor stwierdza, że są one potwierdzeniem więzów i związków łączących od wieków nasze narody, są twórczą kontynuacją w zakresie wymiany wartości duchowych. Słowa: „Drużba" i „Przyjaźń" brzmią różnie, ale znaczą zawsze to samo.

O tym, czym jest inwestycja górniczo-energetyczna „Bełchatów" dla gospodarki narodowej, naszego województwa i co znaczy dla samych mieszkańców tego miasta, pisze L. Włodkowski w artykule „Nowy punkt na mapie". Poza wszystkimi innymi korzyściami, autor dostrzega wielką szansę dla łódzkich wyższych uczelni, szansę wzbogacenia i poszerzenia warsztatów pracy naukowców poprzez ściślejsze związanie się z praktyką.

Sprawa morderstwa prezydenta Kennedy'ego nie schodzi z łamów prasy światowej. Rozlegają się coraz to nowe głosy krytyczne i budzą coraz to nowe wątpliwości orzeczenia komisji Warrena. Andrzej Blajer w piątym odcinku swego cyklu „Anatomia zbrodni" sygnalizuje jak wiele kontrowersji budzi procedura pracy samej komisji, stosowane metody, o których w raporcie wspomina się w sposób tak ogólnikowy i enigmatyczny. Jednomyślność orzeczeń, którą się sugeruje, jest fikcją. W istocie bowiem w pracach komisji istniały poważne rozbieżności, o czym dowiadujemy się dopiero teraz.

Z dziedziny literatury przygotowaliśmy dla Czytelników nowe wiersze łódzkich poetów, a Tadeusz Chróścielewski udostępnił fragment większej całości, traktującej o życiu literackim w czasach okupacji.

Miłośników teatru zainteresuje niewątpliwie szkic Krystyny Piasecznej o sytuacji teatru i poziomie aktorstwa w naszym mieście. Autorka dzieli się swymi uwagami i wysuwa szereg postulatów również pod adresem naszej krytyki teatralnej i recenzentów prasowych. Polecamy.

KORESPONDENCJA ZAGRANICZNA

JÓZEF POTĘGA

SĘPY NAD BOMBAJEM

Kiedy się stoi nad brzegiem zatoki Back Bay widać wyraźnie sporą połać półwyspu – pokrytego drzewami cypla, wrzynającego się w morze. To słynne Wzgórze Malabarskie, okryte tajemnicą, budzące szczególnie zainteresowanie przybyszów zza morza.

DROGA NA WZGÓRZE

Można tam dotrzeć szeroką, nowoczesną estakadą, przebiegającą najpierw wśród gęstej zabudowy, wspartą na wysokich betonowych podporach, a potem sylwiającą łagodnym łukiem tuż nad brzeg zatoki i biegnącą dalej i dalej, aż ku zalesionemu wzgórzu. Tam, gdzie estakada zrównuje się z ulicą niższego poziomu, w zakamarkach betonowych konstrukcji można dostrzec prymitywne małe szałasy, zbudowane w ten sposób, że byle jak zawieszona brudna płachta oddziela ciemny i ciasny kąt od ulicy, po której przemykają samochody, rikksze, motocykle, rowery... Kiedy odchyli się płachta, można zobaczyć

Dalszy ciąg na str. 5

OBYCZAJE

RYSZARD BINKOWSKI

BIMBER W BIAŁYM MERCEDESIE

Przez miasto przeszły sprawne naloty. Jak za czasów Al Capone polała się surówa samogonowa w rozbitych bimbrowniach. W jednym z bloków gorzelnia eksplodowała i producent padł trupem.

Podskoczyły stawki za lewe pędzenie krzakówy, technika produkcji też wzrosła. Równolegle podniosła się technika i skuteczność poszukiwań prowadzonych przez specjalistów z MO, toteż blady strach zatrząsł klanem bimbrowników.

Taksiarz kursujący usługowo białym „Mercedesem" pewnie pomyślał, że po serii likwidacji bimbrowni milicja wystrzelała się z zapału i straciła czujność, czyli będzie luz do startu, toteż postanowił rozkręcić interes na szeroką skalę. W bloku śmierdzi, a do przedsiębiorstwa zlokalizowanego na ustronnym zadupiu obcy nosa nie wpakuje, milicja nie dotrze...

Nieboszczyk J. Koniński w 1967 roku sprzedał Romualdowi Damszelowi działkę o powierzchni 85 a, położoną na krańcu wsi Petrykozy, lecz nawet mu się nie marzyło, że po latach na jego polu zadymi bimbrownia. Zresztą z początku nic tego nie wróżyło. R. Damszel, z zawodu masarz, zatrudniony jako robotnik magazynowy w pabianickiej masarni, w roku 1969 wzniósł budynek gospodarczy o wymiarach 5 x 10, szczytem do drogi, który otynkował i podzielił na trzy części.

Petrykozy leżą dwa kilometry na północ od Pabianic. Od głównej asfaltowej drogi wiedzie droga gruntowa na zachód, przez Petrykozy. Po śnieżycach i deszczu trudno ją przejechać, można dotrzeć tylko do ostatniego zabudowania wśród pól, należących właśnie do R. Damszela.

Mimo takiej odległości masarz hodował w budynku gospodarczym króliki, kury, kaczki i świnie i codziennie, raz lub dwa razy, przychodził z

Dalszy ciąg na str. 6

DNI KULTURY RADZIECKIEJ

Zawsze byliśmy obok siebie. Od legendarnych wojów Lecha, Czecha i Rusa, którzy rozjechali się na trzy strony świata, aby znaleźć dla swoich jakąś rzekę, las i pole, nazwane potem ojczyzną.

Byliśmy zawsze razem od początków dziejów i choć te dzieje różne układały losy i współzależności, zawsze istniała i istnieje do dziś wspólnota dwu kultur — polskiej i rosyjskiej. Dwa najstarsze rosyjskie uniwersytety założyli polscy królowie. Największy poeta narodu polskiego urodził się i wyrósł wśród ludu białoruskiego, Litwę nazywał swoją ojczyzną, opiewał Świteź i stepy Akermanu...

„Wasze cudzoziemskie twarze mają obywatelstwa prawo w mych marzeniach" — pisał Mickiewicz w wierszu „Do przyjaciół Moskali".

„Był tu wśród nas — wtórował mu Puszkin — ... Często mówił o przyszłych czasach, gdy narody zapomną waśni i w rodzinę wielką połączą się..."

Dni Kultury Radzieckiej są zawsze uroczystym świętem naszych narodów. Tym razem przypadły na drugą połowę kwietnia, wiążąc się ściśle z rocznicami wydarzeń historycznych, które dla obu naszych narodów, a dla polskiego w szczególności, mają znaczenie kluczowe. To przecież w tych dniach przypadają rocznice — 30 lat zwycięstwa nad faszyzmem, 30 lat od podpisania Układu o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej między PRL a ZSRR oraz 20 lat od podpisania Układu Warszawskiego.

Program imprez, jakie zaplanowano na ten uroczysty czas był niezwykle bogaty. Radzieccy goście zaprezentowali nam bowiem program będący swego rodzaju manifestacją wszechstronnych związków i braterskiej przyjaźni łączącej nasz kraj z narodami Związku Radzieckiego. Dlatego też do cyklu różnorodnych imprez artystycznych włączono liczne spotkania twórców radzieckich z załogami łódzkich zakładów pracy, członkami organizacji społecznych, działaczami instytucji kulturalnych.

Te wydarzenia kulturalne i artystyczne, jakie przyniosły nam Dni Kultury Radzieckiej, są jeszcze jednym potwierdzeniem więzów i związków łączących od wieków nasze narody. Te wydarzenia mijającej właśnie dekady są zresztą kontynuacją współpracy w zakresie wymiany wartości duchowych. Piszę — wymiany — bowiem wymowną jej manifestacją były przecież zorganizowane w ubiegłym roku z nie spotykanym rozmachem Dni Kultury Polskiej w Kraju Rad.

Bo jesteśmy obok siebie i byliśmy zawsze razem od początków dziejów — historia naszych kultur jest tego niezaprzeczalnym dowodem.

Owe związki trwają i pięknym tego trwania dokumentem była wystawa w Bibliotece UŁ, zorganizowana staraniem ZŁ TPP-R. Ekspozycja ilustruje współpracę naukową między łódzkimi i radzieckimi instytucjami naukowymi. Piękna artystycznie i wymowna była też wystawa polskiego i radzieckiego plakatu o tematyce leninowskiej, otwarta w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego.

Jeśli już o wystawach mowa, to szczególne zainteresowanie wzbudziły dwie ekspozycje plastyczne — grafiki Issataja Issabajewa oraz malarstwa Nikołaja Kormaszowa. Z tymi dwiema imprezami łączy się również — zorganizowane z okazji Dni — ogólnopolskie sympozjum plastyczne na temat problemów upowszechniania sztuki.

Łódzka „Estrada" z okazji Dni zaprosiła na występy do Łodzi i na Ziemię Łódzką parę wybitnych piosenkarzy radzieckich — Marię Pachomienko i Edwarda Chilla.

Maria Pachomienko jest artystką światowej już sławy, dość powiedzieć, że przed paroma laty została laureatką słynnego festiwalu piosenkarskiego MIDEM w Cannes, oraz jest zdobywczynią „Złotego Orfeusza" na Festiwalu Piosenki Estradowej w Słonecznym Brzegu. Edwarda Chilla natomiast znamy z występów na Festiwalu w Sopocie, gdzie zresztą zdobył jedną z głównych nagród.

Przyjechał także do Łodzi zespół baletowy Akademickiego Teatru Opery i Baletu im. S. M. Kirowa z Leningradu. Repertuar klasyczny — ten, w którym tradycyjnie już radziecki balet odnosi od lat sukcesy na całym świecie. A więc „Jezioro Łabędzie" i „Śpiąca Królewna" Piotra Czajkowskiego w wykonaniu tak wybitnych artystów, jak Irina Kołpakowa, Siergiej Wikułow, Helena Jewtiejewa, Natasza Bolszakowa, Jurij Sołowiow, Borys Błankow, Gabriela Komlewa i Galina Miezincewa.

Przed paroma dniami gościliśmy też pięćdziesięcioosobowy, amatorski chór Pałacu Kultury Włókniarzy z zaprzyjaźnionego z Łodzią Iwanowa. Radzieccy włókniarze-artyści spotkali się z załogą ŁZPB im. Obrońców Pokoju.

Na Dni Kultury Radzieckiej przybyło do Łodzi wielu wybitnych twórców, wiele zespołów i solistów było nie tylko na estradach, ale także poznało nasze miasto, zakłady pracy, ludzi i twórców kultury. Ten piękny festiwal przyjaźni, jaki trwał i jeszcze trwa w ramach Dni dokumentuje związki naszych kultur, wzajemną ciekawość osiągnięć i realizacji artystycznych — słowem jest pięknym świętem radzieckiej kultury w łódzkich murach.

Zacząłem od wierszy klasyków — od Puszkina i Mickiewicza. Zakończę fragmentem wiersza napisanego przez współczesnego nam poetę, Grigorija Pietnikowa, który w utworze „Poranna Łódź" tak mówi:

„Świt zbudził,
zerwał kołdrę chmur,
Mówi poranna Łódź:
Rozpoczynam pierwszą zmianę
Słowo niech stanie się warsztatem..."

To słowo brzmi dla nas — „przyjaźń", dla nich — „drużba", ale znaczy zawsze to samo.

J. WILM

DELEGACJA TOWARZYSTWA PRZYJAŹNI RADZIECKO-POLSKIEJ NA ZIEMI ŁÓDZKIEJ

Przed kilku dniami Ziemię Łódzką odwiedziła delegacja Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej w składzie: **Borys F. Bratczenko** — wiceprzewodniczący Cz TPR-P, minister górnictwa węglowego Związku Radzieckiego, członek KC KPZR, deputowany do Rady Najwyższej ZSRR, **Władimir M. Kałaczek** — członek KC Komunistycznej Partii Białoruskiej SRR, deputowany do Rady Najwyższej ZSRR, **Nina Morozowa** — sekretarz Centralnego Zarządu TPR-P w Moskwie, **Oleg Brykin** — radca ambasady ZSRR w Polsce, przedstawiciel Cz TPR-P w PRL oraz **Wiktor Gałkin** — doradca ministra górnictwa węglowego ZSRR.

Delegację przyjął I sekretarz KW PZPR **Zbigniew Zieliński** oraz wojewoda łódzki **Roman Malinowski.** Towarzyszyli im przewodniczący ZW TPP-R — **Jerzy Pryma** i sekretarz ZW — **Władysław Strzelecki.** Gości zapoznano z najważniejszymi problemami społeczno-ekonomicznymi miasta i województwa oraz pracą i osiągnięciami wojewódzkiej organizacji partyjnej.

Następnie delegacja i towarzyszące jej osoby zwiedziła Kombinat Szklarniowy w Widzewie Żdżarach i udała się do Bełchatowa, gdzie miało miejsce spotkanie z kierownictwem politycznym i administracyjnym powiatu i kopalni. Po zwiedzeniu placu budowy Kombinatu Paliwowo-Energetycznego delegacja gościła jeszcze w PGR Niechcice.

FESTIWAL FILMÓW O SZTUCE

W podtytule wydanej w ubiegłym roku książki **„Film o sztuce"** jej autor — Zbigniew Czeczot-Gawrak — określa przedmiot swoich zainteresowań mianem **„nowego zjawiska kultury artystycznej"**. Określenie to ma wszakże charakter względny — w okresie trzydziestolecia powstało w naszych wytwórniach filmowych ponad 400 filmów o dziełach, twórcach i kierunkach sztuki, gatunek ten zdobył już własną, liczną widownię, a doroczne zakopiańskie i kieleckie przeglądy filmów o sztuce stały się istotnymi wydarzeniami życia kulturalnego.

2—5 kwietnia odbył się w Zakopanem już VIII z kolei Przegląd Filmów o Sztuce, gromadząc tym razem rekordową liczbę uczestników. Na imprezę jechałem z uczuciem szczególnego zaciekawienia — wokół problemów filmu o sztuce zaistniała bowiem w okresie przedfestiwalowym sytuacja prowokująca do dyskusji.

Wracałem z przeglądu z uczuciami raczej mieszanymi. I to nie tylko dlatego, że po zapoznaniu się z programem festiwalu stwierdziłem, iż komisja kwalifikująca filmy sama ma wątpliwości na temat tego, co jest, a co nie jest filmem o sztuce. Do zestawów konkursowych włączono 6 filmów animowanych, które o sztuce nie traktują, a wykorzystują jedynie materiał plastyczny jako tworzywo służące wyrażeniu zupełnie nowych treści. Przyczyny mieszanych uczuć były jednakże o wiele bardziej istotne.

W Zakopanem odbyły się też dwa seminaria poświęcone problemom roli filmu w nauczaniu i wychowaniu i sposobom jego wykorzystania w procesie budzenia wrażliwości estetycznej w środowisku robotniczym. Temat pierwszy jest już powszechnie i wielokrotnie omówiony. Jak wiadomo, film oświatowy nie jest wykorzystywany w szkole w takich rozmiarach, jakie odpowiadałyby współczesnemu modelowi kształcenia. Po raz któryś z rzędu zaadresowano zarzuty do Ministerstwa Oświaty i Wychowania, które — jak wiadomo — pozostają bez realnego odzewu.

Taka sytuacja powoduje, że film o sztuce musi być w znacznej mierze instrumentem korygowania błędów edukacji. Dowiedzieliśmy się, że Ministerstwo Kultury będzie współdziałało z 22 wielkimi zakładami przemysłowymi w kraju, dążąc do prezentowania osiągnięć sztuki trzydziestolecia w wielkoprzemysłowych środowiskach robotniczych.

Konsternację wśród uczestników seminarium wzbudził, szczere wyznanie instruktorki **Domu Kultury ZM „Tarnów".** Jej zdaniem filmy o sztuce nie cieszą się — mówiąc delikatnie — zbytnim zainteresowaniem. Inny uczestnik dyskusji zastanawiał się nad znalezieniem sposobów włączenia filmu o sztuce, a zarazem zagadnień sztuki w ogóle, do funkcjonujących schematów kultury masowej, nie będąc jednocześnie w tej kwestii zbytnim optymistą.

Film o sztuce powinien traktować dzieło sztuki jako wartość nadrzędną. Powinien prowokować do bezpośredniego, osobistego kontaktu z dziełem, ale nie może u niewyrobionego odbiorcy, nawykłego raczej do tradycyjnego, muzealnego sposobu kontaktu ze sztuką, wzbudzać uczucia dezorientacji. Jeżeli bowiem zaciekawienie wywołane przez film jest mniej silne niż efekt trudności jego rozumienia — film nie spełnia swojego zadania wobec widza. Im mniejszy zasób wiadomości o prezentowanym problemie, im mniej silne zainteresowanie sztuką — tym większe u odbiorcy niebezpieczeństwo niezaakceptowania filmu. Wiedza, którą film przekazuje, nie włącza się w istniejące już w świadomości widza schematy informacji, jest bezużyteczna, a film nie tylko nie pomaga w zrozumieniu sztuki, ale ją komplikuje. Zwłaszcza wtedy, gdy nieznajomość języka filmu u odbiorcy napotyka nierzadki w filmie hermetyczny komentarz, podany zbyt specjalistycznym językiem.

Szansą filmu o sztuce jest więc włączenie się ze swoimi metodami przekazu w istniejące, akceptowane schematy, pewna przebiegłość w podawaniu informacji. Nie musi to, a co ważniejsze, nie może prowadzić do obniżenia poziomu artystycznego filmów. Jest po prostu warunkiem niezbędnym, aby film o sztuce nie był jedynie elitarnym przedmiotem zainteresowania znawców sztuki.

Wśród przedstawionych filmów było kilka, które wyrażały tendencje do powszechnie zrozumiałego i „chwytliwego" uatrakcyjnienia sposobu przekazywania informacji. Wymienić można tu takie filmy, jak **„To już nie hobby", „Artysta spod Złotego Gronia"** i **„Stefan + Franciszka"** W filmach tych jednakże atrakcyjność wynikała nie tyle z przemyślanych zabiegów reżyserskich, co ze szczególnego rodzaju dzieł i postaci przedstawionych artystów, których nieprzegapienie i niestawianie na cokołach było podstawową zasługą twórców tych filmów. Przyznając wartość tym walorom, trzeba jednak przyznać, że były to filmy przeciętne.

Jedynym filmem, który realizując postulat dostępnej, atrakcyjnej prezentacji dzieła sztuki, wykorzystywał w pełni mistrzostwo reżyserskiego kunsztu twórcy, a zarazem stanowił dzieło o głębokich walorach artystycznych i myślowych, był film **„Świat Memlinga w trzech odsłonach"** Kazimierza Muchy zrealizowany w WFO. Film ten nagrodzono Brązowym Pegazem. W przeciwieństwie do nagradzanych reportaży telewizyjnych był — traktując o sztuce — prawdziwym dziełem sztuki.

Fakt realizacji tego filmu jest symptomem zasługującym na uznanie wśród poczynań łódzkiej WFO. „Oświatówka" — częściowo wspólnie z TV — rozpoczyna produkcję kilku cyklów tematycznych: **„Album malarstwa polskiego"** — stanowić będzie monografię znanych twórców, **„Polska plastyka współczesna"** rejestrację zjawisk sztuki lat ostatnich, **„Słownik sztuki współczesnej", „Arcydzieła malarstwa światowego w zbiorach polskich"** — pierwszym filmem z tego cyklu jest właśnie film o Memlingu. Planowane są także następne dwa cykle, z których pierwszy zająłby się lansowaniem nowych, nie znanych jeszcze powszechnie arcydzieł, a drugi dotyczyłby architektury w Polsce. Cykle te, jak widać już z samych tytułów zajmować będą się nie zjawiskami marginesowymi, ale najbardziej istotnymi dla kultury narodowej, najbardziej godnymi popularyzacji i utrwalenia.

A ponieważ Złotego Pegaza otrzymał niczym nie wyróżniający się film Elżbiety Sitek **„Józef Gieniak — jak się tworzy na nowo cały świat"**, co w istniejącej sytuacji filmu o sztuce nie jest sprawą błahą, wracałem do Łodzi z uczuciami przeciwstawnymi i bardzo mieszanymi.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

NIE TYLKO HISTORIA

STAROMODNE I NOWOCZESNE

Od ponad dwudziestu lat trwają dyskusje o tej książce. Od kilku ledwo miesięcy jest ona dostępna w tłumaczeniu polskim. Nie jest to szybko, ale lepiej późno, niż wcale. „Społeczna historia sztuki i literatury" Arnolda Hausera, bo o tym dziele chciałbym dziś mówić, wydana po raz pierwszy w 1951 r., ogłoszona u nas w zeszłym roku nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego jest dziełem, które budzi równie wiele kontrowersji, jak zainteresowania. Niektórzy — wśród nich wielki francuski historyk sztuki Pierre Francastel, znany nam nie tylko ze swych dzieł syntetycznych, traktujących o problemach socjologii sztuki, lecz także jako wnikliwy badacz średniowiecznej sztuki polskiej — po prostu zakwestionowali metodę A. Hausera, inni doszukiwali się w jego ujęciach swoistego eklektyzmu. Ale dzieło to rozchodzi się w świecie w coraz to nowych nakładach, ma wiele tłumaczeń na różne języki. Dzieje się tak chyba dlatego, że czytelnicy pod różnymi szerokościami geograficznymi mają pod jednym względem podobne życzenia. Mianowicie domagają się od humanistów, by prezentowali całościowe, syntetyczne ujęcia zjawisk kulturowych, nie zatapiali się w studiach tak specjalistycznych, jak to się często czyni, niedostępnych dla ludzi, nie będących zawodowcami w tej bądź innej dziedzinie nauki.

Synteza dziejów kultury A. Hausera wyrasta bowiem z dążenia uczonego do przezwyciężenia wąsko — specjalistycznego horyzontu, z pragnienia oglądania zjawisk w możliwie szerokiej perspektywie, w ogromnych diapazonach czasowych. Jest to bowiem synteza obejmująca czasy od epok najdawniejszych — jeszcze paleolitu i neolitu — do wieku dwudziestego, który jak sądzi autor — rozpoczął się nie w roku 1900, ale później, dopiero po I wojnie światowej, kiedy powstały nowe kierunki w sztuce, ujmowane przez uczonego w powiązaniach z przemianami, dokonującymi się w sferze stosunków społecznych. Inna sprawa, że właśnie formuła kultury rozpatrującej się w XX wieku pod „znakiem filmu" w ujęciu A. Hausera, budzi u czytelnika najwięcej zastrzeżeń.

Jest w tej książce coś staromodnego zarazem, a jednocześnie jakże nowoczesnego: to dążenie do całości, do syntezy. Jest ona zaprzeczeniem podręcznika, od którego oczekujemy raczej katalogu prawdziwych ustaleń i uznanych ocen, niż bodźca do samodzielnego myślenia. To dążenie do całościowego ogarnięcia problematyki we wszech czasach przypomina po trosze wielkie syntetyczne zamierzenia ubiegłego stulecia, dzisiaj niejednokrotnie zatracone. Różni się jednak A. Hauser od dawniejszych syntetyków brakiem wyraźnie sformułowanej koncepcji metodologicznej, stanowiącej podstawę ujęcia, chociaż można by jego poglądy w tym zakresie starać się zrekonstruować na podstawie autorskich interpretacji zjawisk.

Autor polskiego posłowia Juliusz Starzyński nie bez racji powiada:

„Hauser, związany w młodości, jak naściślej z ruchem społecznej lewicy, solidaryzujący się z tym ruchem nawet w pewnych powiązaniach organizacyjnych, był człowiekiem walki. Rozumiał, że sztuka nie stoi na zewnątrz procesu przemiany i walki klasowej i w nowoczesnym społeczeństwie kapitalistycznym. Hauser posługiwał się na tym polu bardziej orientacją intuicyjną, niż wiedzą, lub zgoła uczestnictwem w procesie walki społecznej, ale jednak intuicja nakazywała mu przyjąć kierunek, który ostatecznie musiał prowadzić do orientacji marksistowskiej w historii sztuki".

Trudno odmówić racji J. Starzyńskiemu, kiedy zauważa on, że dopóki A. Hauser „obraca się w sferze wielkich stylów historycznych, wielkich epok już zaklasyfikowanych w rozwoju, dopóty daje ujęcia nie budzące zasadniczych sprzeciwów co do konfrontacji faktów artystycznych z historią społecznego i ekonomicznego rozwoju".

Inaczej jest jednak, kiedy przechodzi do czasów nowszych i najnowszych, które dla niego, uczonego urodzonego w 1892 r. są przecież czasami jego życia. Wówczas trudniej jest o obiektywizację sądów, łatwiej zaś o interpretacje budzące wątpliwości, niekiedy nawet otwarty sprzeciw. Ale te partie dzieła, w których autor rozważa sztukę oświecenia, znaczenie Rewolucji Francuskiej, interpretuje dorobek twórców epoki romantyzmu i wiele innych skłaniają czytelnika do poważnego zastanowienia, niejednokrotnie też budzą podziw dla umiejętności kojarzenia z sobą zjawisk i faktów, na pierwszy rzut oka nie mających ze sobą związku, a jednak składających się na nierozerwalną kulturową całość danej epoki. A jakże mało jest dzieł, które skłaniają do tego rodzaju refleksji...

W tej nowoczesnej książce staromodne jest jeszcze jedno: tak typowe zwłaszcza dla dawniejszej literatury naukowej ograniczenie horyzontu badawczego niemal wyłącznie do tego, co się działo w Europie zachodniej, szczególnie wyraźne przy omawianiu czasów nowożytnych, choć nie zawsze najnowszych — w odniesieniu do wieku XX horyzont ten został nieco rozszerzony. Przeglądnijmy choćby indeks osobowy, umieszczony na końcu dzieła, pomińmy przy tym nazwiska autorów polskich, dodane w przypisach przez polskiego wydawcę, a zobaczymy, że np. z kultury polskiej w książce wspomniano o Koperniku, ale niemal o nikim więcej. Analiza romantyzmu europejskiego uwzględniła najsłuszniej twórczość A. Puszkina i M. Lermontowa, ale obyła się zupełnie bez A. Mickiewicza czy J. Słowackiego. Szczęściem znalazł się w niej F. Chopin na równi z największymi kompozytorami swoich czasów. Dobrze to, ale i niewiele. Nadto anachronicznie, bo nawet nie mając pojęcia o naszym języku, można dziś sobie wyrobić pogląd na miejsce, jakie polski romantyzm zajął w kulturze europejskiej, miejsce poczesne i jemu tylko właściwe. Ale to już inna sprawa.

LEKTOR

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NOWY PUNKT na MAPIE

Fot. Włodzimierz Parys

W istocie punkt jest stary. Pierwsza wzmianka w historycznych dokumentach pisanych pochodzi z 1391 roku. W 1617 roku powstał w BEŁCHATOWIE klasztor franciszkanów. Prawa miejskie otrzymał Bełchatów dopiero w 1737 roku. Na początku XIX w. zaczęło tutaj rozwijać się sukiennictwo. W 1810 roku mieszkało w Bełchatowie 177 osób, w 1869 — 1526 osób.

Prawa miejskie utracił Bełchatów w 1870 roku, aby otrzymać je ponownie w 1925 roku. Tuż przed drugą wojną światową mieszkało w Bełchatowie 8 931 osób. W 1973 roku miasto nie przekroczyło 10 tys. mieszkańców. Stolicą powiatu stało się w 1956 roku.

Jest to więc stary punkt na mapie. Jego niewielką rangę w skali krajowej gospodarki do niedawna wyznaczały Zakłady Przemysłu Bawełnianego. Dlaczego zatem dziś można go nazwać n o w y m punktem na mapie?

ZADECYDOWAŁ WĘGIEL

Aleksander Szpilewicz w książce **„Surowce dla przyszłości"** („Książka i Wiedza" 1974) analizując rozwój cywilizacji pod kątem zużycia energii przez człowieka przypomina, że **homo sapiens** potrzebował dla swojej egzystencji 2 tys. kilokalorii w ciągu doby. Współczesny Polak zużywa już 77 tys. kcal na dobę, podczas gdy współczesny Amerykanin, stojący u progu ery technologicznej, potrzebuje około 230 tys. kcal na dobę.

Ilość energii zużywanej statystycznie przez współczesnego człowieka wyznacza stopień cywilizacyjnego rozwoju kraju. Zdecydowaną większość pochłania przemysł, transport, gospodarstwo domowe, usługi, obrót towarowy. Kraje uprzemysławiające się potrzebują coraz więcej energii. Im szybszy postęp, im większe tempo wyrównywania dysproporcji w stosunku do krajów wysoko rozwiniętych, tym większe zużycie energii.

Dawniej, kiedy stopień rozwoju cywilizacji nie wymagał tak wielkiego zużycia energii, istniała możliwość jej odradzania się. Wykorzystywano bowiem energię powstającą w procesie spalania drewna oraz energię wodną. Dziś zużycie energii charakteryzuje się n i e m o ż l i w o ś c i ą jej odradzania. Dziś energię czerpie się z paliw kopalnych: węgla i ropy naftowej oraz — w niewielkim jeszcze stopniu — z rozpadu jąder niektórych pierwiastków. Pełniejsze wykorzystanie energii jądrowej jest ciągle jeszcze sprawą przyszłości.

Stale rosnące zapotrzebowanie na energię doprowadziło do kryzysu. Wszędzie więc, gdzie jest to tylko możliwe, trwają poszukiwania złóż węgla i ropy naftowej. Każdy kraj marzy o tym, aby móc uniezależnić się od importu paliw. Powszechne jest zatem dążenie do poszukiwań i eksploatacji złóż węgla, gazu ziemnego, ropy naftowej.

W latach pięćdziesiątych w okolicach Bełchatowa szukano nafty. Znaleziono... **węgiel brunatny.** Minęło wiele lat od chwili odkrycia pokładów węgla brunatnego w rejonie **Bełchatowa, Szczercowa i Kamieńska** i dopiero w styczniu 1975 roku zapadła decyzja o eksploatacji złoża i budowie elektrowni. Pierwszy milion ton węgla brunatnego wydobędzie się w 1980 roku i wtedy elektrownia **„Rogowiec"** da pierwszych 360 megawatów mocy elektrycznej. **W 1983 roku** zagłębie bełchatowskie będzie dawało rocznie 40 milionów ton węgla i 5 tys. megawatów. Właśnie dlatego Bełchatów stał się n o w y m punktem na gospodarczej mapie Polski. Po zakończeniu pierwszego etapu budowy kopalni i elektrowni z Bełchatowa płynąć będzie przeszło 15 proc. wytwarzanej w kraju energii elektrycznej.

NA TRZECIM MIEJSCU

Węgiel brunatny jest paliwem lepszym od drewna i torfu, a gorszym od węgla kamiennego i antracytu. Europejskim potentatem w wydobyciu i wykorzystaniu węgla brunatnego jest NRD. Niemiecka Republika Demokratyczna jest też głównym europejskim producentem maszyn i urządzeń dla odkrywkowych kopalni węgla brunatnego. Zasoby węgla brunatnego NRD oblicza się na 62 miliardy ton. Drugie miejsce w Europie zajmuje NRF z 49 miliardami ton, a trzecie — Polska z 33 miliardami ton węgla brunatnego. Ogromne zasoby węgla brunatnego posiada Związek Radziecki.

Jeśli chodzi o wydobycie tego paliwa, to Polska w 1970 roku zajmowała 4 miejsce w Europie — nie licząc udziału Związku Radzieckiego — po NRD, krajach EWG, Czechosłowacji. Wydobywaliśmy wówczas 32,8 milionów ton rocznie. Z chwilą rozpoczęcia wydobywania węgla brunatnego i jego wykorzystywania w Bełchatowie miejsce Polski w Europie ulegnie zmianie.

Nim się jednak to stanie, trzeba będzie przezwyciężyć wiele różnorodnych trudności.

MILIONY TON ZIEMI

Przede wszystkim trzeba będzie przemieścić miliony ton ziemi, aby odkryć złoże węgla. Ustalono, że węgiel znajduje się średnio na głębokości 140 metrów. Miejscami trzeba będzie zatem sięgnąć jeszcze głębiej. Dla realizacji takich zadań zakupiono dla kopalni węgla brunatnego pod Bełchatowem koparki, jakich jeszcze nie widziano w Polsce — trzykrotnie wieksze od tych, jakie pracują w Koninie czy Turoszowie. Największa koparka będzie miała 195 metrów długości i 70 metrów wysokości. Podawać będzie ona w ciągu godziny 7 tys. m sześciennych ziemi. Ziemię tę będzie odbierać taśmociąg i przenosić na zwałowisko. Montaż tego giganta potrwa blisko 3 lata i aby tego dokonać, trzeba odpowiednio przygotować grunt. Inaczej gigantyczna koparka może zapaść się w ziemię.

Już obecnie **„Poltegor" we Wrocławiu** przygotowuje projekt systemu taśmociągów dla Bełchatowa. Przewiduje się, że w 1985 roku długość taśmociągów wyniesie około 100 km, a w następnych latach przybędzie ich około 40 km. Taśmociągami będzie się odprowadzać ziemię z odkrywanego złoża oraz węgiel do kopalni. W miarę wydobywania węgla, zasypywać się będzie próżny już wykop, aby nie pozostawić „dziury w ziemi".

Bełchatowskie taśmociągi będą trzykrotnie dłuższe od używanych obecnie w Turoszowie. Myślę, że te porównania dają wyobrażenie o wielkości przedsięwzięcia i jego znaczeniu w gospodarce kraju. Warto tu podkreślić, że położenie bełchatowskiego złoża węgla brunatnego stwarza możliwość produkowania taniej energii elektrycznej, gdyż niewielkie odległości elektrowni od aglomeracji miejskich: łódzkiej, śląskiej i warszawskiej pozwolą na przesyłanie energii elektrycznej bez większych strat.

CO ZROBIĆ Z WODĄ?

Trudności, wynikające z wielkiego przedsięwzięcia energetycznego w Bełchatowie, nie ograniczają się tylko do konieczności przemieszczenia ogromnych ilości ziemi. Drugim problemem, wymagającym rozwiązania, jest... **woda.** Aby móc eksploatować złoże, trzeba je najpierw odwodnić. Otoczy się więc pokład węgla brunatnego pod Bełchatowem siecią studni głębinowych, które wypompowując wodę, obniżą jej poziom na obszarze blisko 1,5 tys. m kwadratowych. Poziom wody w tym rejonie musi obniżyć sie do głębokości 210 — 300 metrów od powierzchni ziemi. Powstanie, dzięki nieustannej pracy pomp, wielki lej depresyjny. Pozwoli to na rozpoczęcie eksploatacji węgla brunatnego, ale też spowoduje wiele skutków ubocznych, nie zawsze korzystnych.

W rejonie leja depresyjnego ciężar budynków i warstw ziemi wzrośnie o tyle, o ile uprzednio był obniżony na skutek równoważenia przez ciężar wypartej wody. Spowoduje to gwałtowne osiadanie budynków, wybudowanych w rejonie leja depresyjnego. Z tego też powodu już w sferze projektowania trzeba było miejsce pierwotnie przeznaczone pod budowę elektrowni „Rogowiec" przesunąć o około 1,5 km, aby zapobiec ewentualnej awarii, która mogłaby się tragicznie zakończyć dla całego przedsięwzięcia. W rozwiązywaniu tego problemu z pomocą praktykom pośpieszyli naukowcy z Politechniki Łódzkiej.

Dalszym problemem wymagającym radykalnego rozwiązania była rzeka **Widawka.** Przepływa ona w poprzek złoża węgla brunatnego. Aby więc móc eksploatować złoże, trzeba było... **przenieść koryto rzeki w inne miejsce** i poprowadzić je poza złożem węgla. Dokonano już tej pracy. Widziałem nowo wykopane koryto Widawki, choć rzeka jeszcze płynie starym korytem. To nowe koryto, wyłoży się folią, aby uniemożliwić przenikanie wody przez warstwy gruntu i spływanie ich do wykopu kopalni odkrywkowej.

Widawka płynie jeszcze starym korytem, a kilka kilometrów dalej bieleje się piaskiem nowe, bardziej przypominające kanał niż koryto rzeki. Wykop kończy się tuż przy drodze, aby ponownie zaczynać się za drogą. Za kilka miesięcy w tym miejscu będzie most. Teraz jeszcze nic nie przypomina tutaj brzegów rzeki, a przecież zmieniający się krajobraz na obrzeżach przyszłej kopalni rozbudza wyobraźnię. Chciałoby się schylić i zajrzeć w głąb ziemi, aby przekonać się, czy rzeczywiście jest tam energetyczne bogactwo. Fachowcy jednak uspokajają. Złoże zostało dokładnie udokumentowane. Węgla wystarczy najmniej na 25 lat.

— Co będzie po 25 latach?

— Przez tych 25 lat — odpowiada młody inżynier — zbudujemy chyba system energetyczny, który będzie zasilany przez energię jądrową oraz nauczymy się też wykorzystywać energię słoneczną. Najpierw jednak zbudujemy Bełchatów i włączymy go do krajowego systemu energetycznego.

MIASTO

BEŁCHATÓW — tym mianem określa się przyszły Kombinat Górniczo-Energetyczny, chociaż przyszła kopalnia i elektrownia leżą na południe od miasta Bełchatowa. Jednakże w coraz powszechniej używanym skrócie, służącym do nazwania całej inwestycji, która przez najbliższe lata będzie jedną z największych w kraju, mieszczą się również przemiany, jakie dotkną i samo miasto.

Dziś Bełchatów jest niespełna 10-tysięcznym miastem. W przyszłości będzie tu mieszkało około 100 tysięcy osób. Dziś jedną dziesiątą bełchatowskiej ludności stanowią pracownicy budującej się kopalni i elektrowni. W przyszłości będzie ich znacznie więcej. Wzrośnie też ludność Szczercowa i Kamieńska. Tylko do końca 1975 roku stan zatrudnienia w budującej się kopalni i elektrowni powinien zamknąć się w granicach 8 tys. osób.

Część ludzi pracujących przy budowie kopalni i elektrowni rekrutować się będzie spośród mieszkańców okolicznych wsi. Powiat bełchatowski należał do najuboższych w województwie łódzkim. Ziemie tu mało urodzajne. Ludzie szukali pracy w pobliskich Pabianicach lub w Łodzi. Teraz praca przyszła do nich. Jest na miejscu. Odpada męczące dojeżdżanie. A jeśli los zdarzył, że wieś lub gospodarstwo znalazło się na terenie przyszłej kopalni, to i odszkodowanie można otrzymać znaczne, rozejrzeć się za nową ziemią, albo zmienić zawód — z chłopa lub chłopo-robotnika stać się robotnikiem, zdobyć kwalifikacje. Dla znacznej części ludności powiatu bełchatowskiego węgiel brunatny i decyzja o jego eksploatacji stała się dobrodziejstwem, długo oczekiwaną „manną", która jednak nie spadła z nieba, a wyszła z głębi ziemi.

Jednak dla tych, którzy przyjadą tutaj, aby budować kopalnię i elektrownię, jak i dla tych, którzy zdecydują się porzucić rolnictwo i zwiększyć liczebny stan klasy robotniczej, potrzeba m i e s z k a ń. Trzeba więc wybudować drugi i trzeci Bełchatów, czwarty i piąty i tak aż do dziesięciu, bo trzeba go powiększyć prawie dziesięciokrotnie. **Ale co to znaczy wybudować nowy Bełchatów?**

Rozbudowując duże miasta powiększa się dzielnice mieszkalne, stawia się dzielnice przemysłowe i modernizuje się centrum aby mogło spełniać swoje funkcje w stosunku do powiększonego miasta. W tym procesie rozbudowy i unowocześnienia usuwa się to wszystko, co pochodzi z poprzednich czasów i nie przedstawia żadnej wartości, a przeszkadza w budowaniu nowego. Rozbudowywane miasto często rośnie nie tylko na podmiejskich polach, ale i na gruzach starego.

Rozbudowa Bełchatowa nie może następować taką drogą, nie można bowiem do starego Bełchatowa dobudować nowego. Musi powstać od razu nowe miasto, choć nie stanie się to w ciągu roku. Będzie się więc budować nowe dzielnice, ale będzie się też na gruzach starego budować jednocześnie nowe centrum już podporządkowane potrzebom blisko 100-tysięcznego miasta. I to nowe centrum powinno powstać w zamkniętym kształcie do 1980 roku, a więc zaledwie w pięcioleciu. Również do tego czasu powstanie osiedle **„Dolnośląskie"**, które będzie budowane według projektu łódzkich architektów: J. Sadowskiego, J. Wyżnikiewicza i H. Wachowiaka. Projekt osiedla „Dolnośląskie" został wybrany z wielu prac konkursowych. W konkursie bowiem zwyciężyli łódzcy architekci i ich koncepcja.

Bełchatów otrzyma również osiedle dziwnie nazwane **„Rok 2000"**. Takich osiedli ma powstać w Polsce siedem. Jedno — w Bełchatowie. Ich projekty wybrano również w drodze konkursu. Architektom, biorącym udział w konkursie, postawiono tylko jedno zadanie: przedstawić projekt osiedla przyszłości, nie kierując się żadnymi ograniczeniami, jakie obowiązują jeszcze dzisiaj. Ograniczenia te nie powinny już obowiązywać w roku dwutysięcznym. I tak w Bełchatowie w latach 1981—1985 powstanie osiedle przyszłości.

Bełchatów leży z dala od szlaków komunikacji kolejowej i drogowej. Budowa kopalni, elektrowni, a także miasta wymaga więc rozbudowy sieci dróg i przeprowadzenia linii kolejowej do Bełchatowa, do kopalni i elektrowni. Linię tę będzie się budować z myślą o przyszłości, przygotowując ją do warunków, w jakich mogą kursować pociągi poruszające się z szybkością przeszło 200 km na godzinę.

PRZEWIDYWANIA

I tak s t a r y punkt na mapie staje się n o w y m, zmienia się jego wartość, ranga i znaczenie. Bełchatów zmienia geografię gospodarczą województwa łódzkiego i geografię gospodarczą Polski, dodając do istniejących już wartości, wartość nową. Bełchatów staje się dynamicznie rozwijającym się rejonem gospodarczym w bezpośrednim sąsiedztwie Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej. Z Pabianic do Bełchatowa jest tylko 35 km.

Spotykam się ciągle z pytaniem: **jak budowa Bełchatowa wpłynie na dalszy rozwój Łodzi?** W pytaniu tym zawarta jest obawa, że dynamiczny rozwój nowego ośrodka gospodarczego, dający możliwość szybkiego otrzymania mieszkania, wykazania swoich umiejętności i uzdolnień, będzie kierował zainteresowania specjalistów różnych dziedzin w tamtą właśnie stronę. Czy istotnie tak będzie, trudno dziś powiedzieć. Optymiści, zakładający nawet taką sytuację, utrzymują, że być może przy konkurencyjności Bełchatowa Łódź nauczy się szacunku dla specjalistów różnych dziedzin.

Dla łódzkich wyższych uczelni Bełchatów stał się wielką szansą ściślejszego powiązania się z praktyką. Praktycy, stając przed wielu problemami, jakie rodzi budowa zagłębia energetycznego, skierowali już pod adresem naukowców wiele różnych pytań, oczekując na nie konkretnej odpowiedzi, oczekując koncepcji, która pozwoliłaby im nie pomylić się i wybrać najlepsze praktyczne rozwiązanie. Na potrzeby Bełchatowa pracuje jednakże nie tylko Politechnika Łódzka. Szereg pytań skieruje się lub już skierowano pod adresem naukowców Uniwersytetu Łódzkiego, a także myśli się o zaangażowaniu łódzkiej szkoły filmowej do prac nad tworzeniem filmowej dokumentacji dla bełchatowskich przeobrażeń.

Bełchatowska inwestycja rodzi więc nie tylko obawy, ale przynosi konkretne korzyści również dla Łodzi. Bełchatów jednak to nie tylko kopalnia i elektrownia, to również przemysł towarzyszący, nie licząc warsztatów naprawczych i zakładów pomocniczych. Dziś już można mówić o powstaniu przedsiębiorstw produkujących elementy budowlane. Przewiduje się na przykład, że w niedługim czasie powstanie wytwórnia cegły silikatowej, która rocznie da 200 milionów sztuk, podczas gdy obecnie w całym województwie łódzkim produkuje się 80 milionów sztuk tej cegły.

Ciepło elektrowni można będzie wykorzystać dla rozwoju ogrodnictwa. W pobliżu „Rogowca" przewiduje się powstanie zakładów przemysłowych, potrzebujących wielkiej ilości energii. Rozbudują się też gospodarczo Szczerców i Kamieńsk. Wzrośnie niewspółmiernie rola i znaczenie Piotrkowa Trybunalskiego. W najbliższym sąsiedztwie Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej powstanie nowy region gospodarczy.

Dziś trzeba sporej dozy wyobraźni, aby na rozjeżdżonych ciągnikami i wywrotkami podbełchatowskich polach zobaczyć przyszły kształt tego regionu. Ale niech to nikogo nie przeraża. Wyobraźnia jest bowiem niezbędnym czynnikiem przy realizacji zamierzeń, mających zmienić w najbliższej przyszłości charakter i znaczenie poszczególnych regionów, całego kraju. Bez wyobraźni nie bylibyśmy w stanie zrealizować żadnego z ambitnych zamierzeń, jakie podejmujemy i będziemy podejmowali.

HIPOTEZY (VII)

ERICH von DÄNIKEN

FANTAZJA I RZECZYWISTOŚĆ

W „Rydwanach bogów" umieściłem rozdział, w którym przewidywałem masowy exodus ludzi z Ziemi na inne ciało niebieskie. Wydawało mi się, że ten fantastyczny pomysł może być jednym ze sposobów zapobieżenia skutkom eksplozji demograficznej, przed którą nie widać sposobów ucieczki. W końcu jednak usunąłem tę wizję przyszłości z maszynopisu przed oddaniem książki do druku: nie chciałem straszyć moich czytelników takimi „niemożliwymi" pomysłami. Jednakże postęp doścignął moją fantazję.

Byliśmy już świadkami radzieckich i amerykańskich eksperymentów, których ostatecznym celem jest zrealizowanie tego pomysłu, choć obecnie wygląda on na projekt zaczerpnięty z literatury fantastyczno-naukowej. Profesor **Carl Sagan** z Harvardu i profesor **Dymitr Martynow** z Instytutu im. Sternberga w Moskwie prowadzą bardzo podobne badania naukowe. Pragną oni zdobyć Wenus dla ludzkości.

Dla przeprowadzania badań laboratoryjnych dysponują oni danymi sond zwiadowczych – radzieckich sond wenusjańskich oraz amerykańskich sond typu Mariner. Szóstego czerwca 1969 roku agencja prasowa TASS podała, że temperatura powierzchni Wenus waha się od 400 stop. do 500 stop. C. Dane te pokrywają się w przybliżeniu z danymi przesłanymi do stacji naziemnej w roku 1967 przez Marinera V, który stwierdził temperaturę rzędu 480 stop. C oraz ciśnienie atmosferyczne od 50 do 70 mm słupa rtęci. Rosjanie dysponują także szczegółowymi danymi przesłanymi przez sondy, które miękko lądowały na powierzchni planety. Według tych danych, atmosfera Wenus zawiera 93–97 procent dwutlenku węgla, 2–5 procent azotu i zaledwie 0,4 procent tlenu. Przy ciśnieniu niespełna 1 atmosfery, aparaty pomiarowe zarejestrowały 4 do 11 miligramów wody na jeden litr powietrza.

Dane te są cennym materiałem naukowym. Na ich podstawie zarówno Martynow jak i Sagan opracowali plany biologicznego otwarcia planety. Carl Sagan opublikował swe projekty w czasopiśmie naukowym **„Science"**, o którym wiadomo, że publikuje jedynie takie artykuły, które zostały poddane szczegółowej i dokładnej analizie naukowej.

Sagan uważa, że w najbliższej przyszłości (ma on na myśli kilka dziesiątków lat) pojazdy kosmiczne przewiozą w swych ogromnych ładownicach i rozpylą lysiące ton niebieskich alg w atmosferze Wenus, wydmuchując je w kierunku powierzchni planety. Niebieskie algi utrzymują się przy życiu nawet w wysokich temperaturach a dzięki swej przemianie materii redukują zawartość dwutlenku węgla w atmosferze. Na skutek ciągłej redukcji ilości dwutlenku węgla temperatura powierzchni planety zacznie stopniowo opadać, aby na koniec spaść poniżej 100 stop. C. Niebieskie algi zainicjują wtedy te same reakcje chemiczne, jakie kiedyś miały miejsce w prymitywnej atmosferze naszej Ziemi. Przy pomocy światła i wody cząsteczki dwutlenku węgla mogą być zamienione w tlen. Jednocześnie, z chwilą spadku temperatury planety poniżej 100 stopni, zacznie padać deszcz przypominający biblijny potop. Światło, tlen i woda stworzą wtedy konieczne warunki do powstania pierwszych prymitywnych form życia.

Ponieważ naukowcy myślą już o ewakuacji ludzkości na inną planetę, musieli pomyśleć także o podjęciu niezbędnych kroków zapobiegawczych dla ochrony nas – istot wrażliwych i delikatnych. W drugiej fazie kolonizacji Wenus rozpyli się chemikalia, które zniszczą mikroorganizmy mogące stanowić niebezpieczeństwo dla pana stworzenia.

Jedynie bardzo odległe generacje dożyją realizacji tego gigantycznego planu. Bo choć wykonanie takich projektów może być przyśpieszone przez rozwój nowoczesnej techniki, to trzeba będzie dość długo czekać na ewolucyjne powstanie nowego świata. Obecnie uczeni uważają, że upłynie co najmniej tysiąc lat zanim pierwszy kosmiczny statek ewakuacyjny będzie mógł polecieć na Wenus.

Rozwój techniki zadziwia nas. Dwudziestego lipca 1969 roku, o godzinie trzeciej minut 56 i 20 sekund czasu środkowoeuropejskiego setki milionów ludzi obserwowało jak dwaj astronauci, **Neil Alden Armstrong i Edwin E. Aldrin**, jako pierwsi z ludzi postawili stopę na Księżycu. Było to najwspanialsze do tej pory osiągnięcie w dziedzinie lotów kosmicznych, które zafascynowało i zadziwiło ludzkość. Ale nawet wtedy, gdy człowiek udawał się w ową zapierającą dech w piersiach podróż na Księżyc, nauka zajmowała się już lotami badawczymi na Marsa i Wenus a nawet problemem masowej migracji ludzi na siostrzaną planetę Ziemi. Podbój Księżyca rozpoczynał się wysyłaniem bezzałogowych satelitów; podobnie bada się teraz Wenus przy pomocy bezzałogowych sond. 18 maja 1969 roku doniesiono z Moskwy, że po 130 dniach lotu, sonda Wenus-5 o wadze 2 260 funtów (1024 kg) zakończyła swą podróż długości 156 250 000 mil. Kiedy sonda znajdowała się w odległości 31 250 mil (50 282 km) od powierzchni planety, kontrolna stacja naziemna przekazała drogą radiową ostatni rozkaz. Na ten rozkaz sonda wysłała na spadochronie pojemnik z instrumentami. Agencja TASS oświadczyła, że spadanie pojemnika trwało 53 minuty.

Odległość Wenus od Ziemi zależna jest od odległości jej orbity od Ziemi i waha się w granicach od 26 000 000 do 160 625 000 mil (41 834 000 — 258 448 600 km). Radzieckie sondy nie docierają do Wenus drogą najkrótszą. Brzmi to paradoksalnie lecz stosowana przez Rosjan zasada określania toru lotu sond wenusjańskich ma zastosowanie we wszystkich współczesnych lotach międzyplanetarnych. Tor lotu jest obliczany tak, aby statek kosmiczny mógł odbyć podróż przy minimalnym zużyciu paliwa. Gdyby sondę wystrzelono bezpośrednio w kierunku Wenus, musiałaby ona mieć szybkość początkową równą 20 milom na sekundę (32 km). W takim przypadku ogromne ilości paliwa byłyby zużyte nie tylko przy starcie, ale także przy wytracaniu szybkości w okresie późniejszym. Z tej racji eksperci od balistyki wolą wyliczać takie tory lotu, które w możliwie największym stopniu przypominają ruch Ziemi. Przy tych założeniach, najkorzystniejszy tor lotu jest dziesięć razy dłuższy niż trasa bezpośrednia lecz umożliwia on mniejszą szybkość startową – 7,175 mil/sek. (11,55 km) – oraz dużo mniejsze zużycie paliwa.

Cóż naprawdę utopijnego jeszcze nam pozostało? Wstępne badania naukowe stają się wiedzą stosowaną z tak niewiarygodną szybkością, że pisarze trudniący się fantastyką naukową mają ogromne trudności z wymyślaniem rzeczy nieprawdopodobnych.

W roku 1969 profesor **Hans Laven**, dyrektor Instytutu Genetyki w uniwersytecie w Moguncji, opublikował artykuł stwierdzający, że miliony owadów będących roznosicielami chorób i szkodliwych dla ludzi zwierząt i roślin mogłyby być niszczone bez użycia środków chemicznych używanych obecnie do niszczenia niebezpiecznych insektów i ich potomstwa. Już w roku 1967 Laven zdołał wykazać skuteczność swej metody w mieście Okpo (Burma), które było nawiedzone przez plagę komarów. W ciągu kilku miesięcy Okpo zostało uwolnione od tej plagi.

Wcześniej Laven eksperymentował w laboratoriach Moguncji przez całe lata. W trakcie przeprowadzania eksperymentów odkrył on, że istnieje naturalna niezgodność pomiędzy komarami pochodzącymi z różnych miejsc. Komary z północnych części Niemiec chętnie parzyły się z osobnikami tegoż gatunku ze Schwaben, jednakże powstałe w ten sposób potomstwo nie było zdolne do życia. Skoro komary z różnych części Niemiec wykazywały taką niezgodność, to z pewnością komary z różnych kontynentów odznaczać by się musiały niezgodnością jeszcze większą. Wyhodowano więc rasę komarów powstałą ze skrzyżowania komara kalifornijskiego i francuskiego. Kiedy męskie osobniki tej rasy wypuszczono w mieście Okpo, okazało się, że wychodzą one zwycięsko z rywalizacji o samiczki z komarami birmańskimi, jednakże z jajeczek złożonych przez ich samiczki nie wylęgają się żadne młode komary. Ilość chromozomów u poszczególnych gatunków komarów nie była jednakowa i rozpoczęła się zagłada genetyczna. Zalety tej metody niszczenia komarów są oczywiste: znika ryzyko zanieczyszczenia żywności i roślin powstałe z rozpylania środków owadobójczych.

Profesor Laven kontynuuje swoje badania z uwzględnieniem najnowszych odkryć w dziedzinie genetyki. Naświetla on męskie osobniki komarów promieniami Roentgena o natężeniu 4 000 r. Naświetlanie nie powoduje żadnych organicznych uszkodzeń ale łańcuch chromozomów pomiędzy genami zostaje uszkodzony. Porządek chromozomów zostaje zakłócony, geny się zmieniają, a owady rozwijają się w nie zaplanowanym kierunku. W dalszym ciągu zdolne są do reprodukcji, ale ich potomstwo jest pod każdym względem gorsze. Laven tak się wyraził o generacjach komarów, które na skutek opisanego zabiegu przekazują swoje zaprogramowane ułomności: „Nie ma lekarstwa na tę częściową bezpłodność, bo jest ona dziedziczna".

Laren jest przekonany, że w stosunkowo krótkim czasie będzie możliwe wykorzystanie modelu jego eksperymentu dla niszczenia innych szkodliwych owadów. Uważa on nawet, że plaga szczurów występująca w wielu miejscach na świecie mogłaby być w ten sposób zlikwidowana.

Ogromne możliwości związane z dokonywaniem manipulacji na kodzie genetycznym nie są już wizjonerskim snem. Mamy tu do czynienia z faktami naukowymi. Oczywiście, pomiędzy dniem wczorajszym i jutrzejszym leży przepaść, którą trzeba wypełnić. Najprawdopodobniej ponownie odkryjemy coś, co już kiedyś było rzeczywistością.

Kiedyś, nowa wiedza i technologia stworzą organizm ludzki przystosowany do lotów międzygwiezdnych — taki, który nie będzie chorował i który sprosta wszystkim ciężarom i stressom na niego nałożonym. Skoro tylko uda się obniżyć próg reakcji immunologicznej organizmu bez zniszczenia jego właściwości obronnych przed infekcjami, przeszczepy staną się tak naturalne i oczywiste jak operacje wyrostka robaczkowego. W takiej jednak chwili trudności będzie stwarzać problem zapewnienia odpowiedniej ilości narządów do przeszczepów. Dla uniknięcia kłopotów wynikających z rodzinnych i religijnych zakazów w czasie przeprowadzania poważnych operacji, zbierać się będzie narządy dla przyszłych biorców w specjalnych bankach narządów.

Wierzę, że przeszczepy narządów są tylko etapem przejściowym. Jeśli naukowcom uda się w końcu zaprogramować w cząsteczce DNA o kształcie podwójnej ślimacznicy informację dotyczącą budowy i rekonstrukcji narządów, to metody Frankensteina zostaną wkrótce zapomniane. Radziecki uczony **L. W. Poleszajew** już teraz potrafi spowodować, że rozległa rana na skórze głowy regeneruje się samoistnie. Udało mu się nawet zapoczątkować odrastanie amputowanych kończyn. Wkrótce także operacje będą przeprowadzane na genach. Czysta fantazja? Nie wydaje mi się, ponieważ wiem, że dr **Teh Ping Lin** z San Francisco zdołał już w roku 1966 zaszczepić zarodek myszy. Zarodek ten jest dziesięć razy mniejszy od czerwonego ciałka krwi i w ogóle nie można go zobaczyć gołym okiem!

Opracował
B. KRAKOWIAN

ANATOMIA ZBRODNI (V)

ZAMKNIĘTY KRĄG

„Jedną z najgłębszych tajemnic od początku przesłuchań była odpowiedź na pytanie, dlaczego Lee Oswald chciał zabić prezydenta?"

Pytanie to stawia w swej książce „Portrait of the Assassin" członek komisji Warrena, ówczesny kongresman, **GERALD FORD.** Dodajmy, iż kwestia ta do dziś pozostaje tajemnicą, bowiem, wbrew oczekiwaniom, próżno by szukać na nią odpowiedzi w **„Report of the President's Commission on the Assassination of President Kennedy"** – 888-stronicowym dokumencie oficjalnym sporządzonym po zakończeniu prac komisji.

Jak to już było wielokrotnie widoczne, wspomniany raport pozostawia wiele do życzenia zarówno co do sedna sprawy – kto zabił Kennedy'ego? – jak i przebiegu oraz procedury śledztwa. Odnośnie metod funkcjonowania komisji istnieje niewiele informacji. Nie ma ich prawie całkowicie w raporcie, jak też w sprawozdaniach z obrad komisji. Jednomyślność, jaka zdaje się sugerować raport Warrena wcale nie była całkowita i odnośnie wielu kwestii, w tym również zasadniczych spraw związanych z przedmiotem śledztwa, istniały w opiniach członków komisji poważne rozbieżności. Nie można więc nie zadać sobie pytania, dlaczego w sprawozdaniu komisji dochodzeniowej, które z uwagi na fakt, iż dotyczyło śledztwa w sprawie zamordowania prezydenta Stanów Zjednoczonych, a zatem najważniejszej osobistości w państwie i które z tej racji powinno być opracowane z możliwie największą wnikliwością i starannością – aż roi się od kontrowersji i absurdów?

— Dlaczego śledztwo trwało tak krótki okres czasu, bo zaledwie przez dziesięć miesięcy? Dlaczego, wbrew oczywistym dowodom, z uporem forsowano tezę, iż jedynym mordercą prezydenta był Oswald? Jakie względy zadecydowały, iż śledztwo było prowadzone w sposób niepełny, z pośpiechem, a jego konkluzje były tak zaskakująco sprzeczne z faktami? Czy było to spowodowane tym, że członkowie komisji znali prawdę i działając pod presją nie mogli jej ujawnić, czy też z innych względów nie chcieli tego uczynić?

Komisja dochodzeniowa w sprawie wyjaśnienia tła zamordowania prezydenta Johna Kennedy'ego została powołana przez prezydenta L. Johnsona **29 listopada 1963 roku.** Jej przewodniczącym został prezes Sądu Najwyższego, **Earl Warren.** W okresie 10 miesięcy urzędowania komisja odbyła 51 posiedzeń, jej członkowie wraz z personelem pomocniczym przesłuchali 489 świadków, zebrali 3,154 zeznania i polecili przesłuchać FBI około 25.000 osób. Tak więc odnośnie procedury śledczej nie można zarzucić komisji żadnych uchybień.

A jednak na tych 51 posiedzeniach absencja wśród siedmiu członków komisji wyniosła średnio 55 proc. Oczywiście, że każdy z członków miał swoje obowiązki wynikające z pełnionych funkcji. **Earl Warren** na przykład zgodził się kierować pracami komisji jedynie pod warunkiem, iż nie będą one kolidowały z jego działalnością na stanowisku prezesa Sądu Najwyższego. Ale przecież sprawa, którą się zajmowali, była wówczas jedną z najważniejszych w państwie, dotyczyła bowiem morderstwa popełnionego na osobie prezydenta USA. Tymczasem jedynie 3 członków komisji było obecnych na ponad połowie spotkań. **Allen Dulles** uczestniczył w największej liczbie przesłuchań (71 proc. obecności), zaś senator Russell był obecny tylko na 5 posiedzeniach. Jedyną osobą, którą z racji funkcji była obecna na wszystkich spotkaniach, był sekretarz komisji **J. Lee Rankin.** Jak więc w tych warunkach można było liczyć na gruntowne śledztwo, które ujawniłoby sprawców i podłoże zamachu? A przecież dylematów, wobec których wciąż stawała komisja, było bardzo wiele.

Gerald Ford opisuje na przykład w swej książce wrażenie, jakie wywarła na członkach komisji Warrena wiadomość telefoniczna przekazana 22 stycznia 1964 roku z Dallas przez prokuratora generalnego stanu Teksas, **Waggonera Carra**, z której wynikało, iż **Lee Harvey Oswald był agentem FBI (o numerze 179) i że od września 1962 roku otrzymywał co miesiąc 200 dolarów od tej instytucji w zamian za współpracę.** Można sobie wyobrazić zamieszanie, jakie wywołała ta wiadomość, zwłaszcza, iż komisja już ustaliła, że jedynym mordercą prezydenta był właśnie Oswald. Ostatecznie wybrnięto z tej niezręcznej sytuacji stwierdzeniem, iż była to całkowicie bezpodstawna i „nikczemna" pogłoska.

Sprawa jest całkiem jasna, gdyby bowiem przyjęto, iż pogłoska jest prawdziwa, śledztwo musiałoby objąć swymi podejrzeniami również FBI, a to w sposób zasadniczy by je skomplikowało. Pochłonęłoby to również wiele czasu i mogłoby doprowadzić do zupełnie niespodziewanych wyników, a przecież komisji wyraźnie zależało na tym, aby śledztwo ograniczało się jedynie do osoby Oswalda i jego zabójcy Jacka Ruby'ego. Śpieszono się też nieprzypadkiem, jako że nowy szef państwa, **Lyndon Johnson**, z czysto politycznych pobudek (a może nie tylko?) wciąż nalegał na szybkie prowadzenie śledztwa.

Podobnych kłopotów, jak wspomniany wyżej, przysporzyła komisji kwestia: **czy istniał więcej niż jeden morderca?** Jeśli bowiem Oswald działał sam, można było śledztwo ograniczyć jedynie do jego osoby i szukać motywów morderstwa w oparciu o dotychczasowe postępowanie i postawę życiową (co zresztą uczyniono). Sytuacja uległaby jednak radykalnej zmianie, gdyby przyjąć, iż jeszcze inna osoba lub osoby były uwikłane w sprawę mordu na prezydencie. Przede wszystkim trzeba by zmienić zarówno naturę jak i zasięg śledztwa, szukać nowych dowodów i hipotez, nowych podejrzeń. Ramy śledztwa musiałyby wówczas ulec tak znacznemu rozszerzeniu, iż wkroczyłoby ono w nowy wymiar – niepewność. Nikt bowiem nie wiedziałby, dokąd ono zaprowadzi i jaki będzie jego koniec. Nie, do tego komisja nie chciała żadną miarą dopuścić. Należało się więc uporać z całą sprawą możliwie jak najszybciej, nawet gdyby to miało za sobą pociągnąć sztuczne naginanie przyjętej przez komisję wersji wydarzeń do rzeczywistości, bądź wystąpienie rażących sprzeczności. Znalazło to swoje wyraźne odbicie w raporcie, a zwłaszcza w jego konkluzjach. A konkluzji tych było pięć.

W pierwszej komisja starała się wykazać, iż strzały padły jedynie z budynku składnicy książek, mimo iż bardzo wiele dowodów (o czym już pisano) świadczyło na niekorzyść tej tezy. **W drugiej**, dotyczącej przebiegu wydarzeń, komisja stanęła przed niezwykle trudnym dylematem: czy Kennedy i Connally zostali trafieni jedną kulą, czy też każdy z nich został trafiony osobno? W tym drugim wypadku 1,5-sekundowe opóźnienie w reakcji Connalley'ego mogło sugerować, iż musiał być jeszcze jeden strzelec, co w zasadzie obalałoby kluczową tezę komisji, iż mordercą był tylko Oswald. Zdania wśród członków komisji były bardzo zróżnicowane. Trzech spośród nich: Ford, Dulles i McCloy skłaniało się tezie „o podwójnym trafieniu", pozostali (Russell, Cooper, Boggs) obstawali przy drugiej wersji. Ostatecznie znaleziono kompromisowe rozwiązanie orzekając, iż: **„Chociaż zeznanie gubernatora Connally'ego jak i inne dowody wywołały pewne różnice poglądów odnośnie tej możliwości** (trafienia prezydenta i gubernatora tą samą kulą), **w opinii wszystkich członków Komisji nie ma wątpliwości odnośnie tego, że wszystkie strzały, które spowodowały rany prezydenta i gubernatora Connally'ego padły z okna VI piętra Texas School Book Depository".**

Fot. Archiwum

KOMISJA WARRENA. Od lewej: były szef CIA — *Allen W. Dulles*, kongresman — *Hale Boggs*, senator *John Sherman Cooper*, przewodniczący Komisji — *Earl Warren*, senator — *Richard Russell*, bankier — *John McCloy*, kongresman — *Gerald Ford*.

Z następnej konkluzji wynikało, że mordercą był Lee Harvey Oswald. Tak ona jak i **czwarta konkluzja**, dotycząca motywów działania Oswalda, były w większości oparte na przypuszczeniach, poszlakach, względnie elementach nie sprawdzonych. **Ostatnią** była kwestia, czy Oswald działał sam. Ford wspomina, że pierwotnie projekt konkluzji kategorycznie wykluczał spisek, jednak na skutek jego interwencji sformułowanie to zmieniono następująco: **„Komisja nie znalazła żadnego dowodu na to, iż był to spisek".** A przecież mordercą mógł być jeden człowiek tylko pod warunkiem, że Kennedy i Connally zostali ugodzeni tą samą kulą, a to, jak ujawniają raporty FBI, diagnozy lekarzy z Parkland-Hospital i film Zaprudera, było całkowicie wykluczone. Dopóki więc nie zostały definitywnie ustalone fakty przemawiające za tą konkluzją (a przecież nie zostały), dopóty komisja nie miała prawa twierdzić, że Oswald działał wyłącznie sam.

Pozostaje jeszcze odpowiedź na pytanie, **co skłoniło komisję do obrania właśnie takiej linii postępowania, to znaczy dopasowywania faktów i zeznań świadków do przyjętego z góry przebiegu wydarzeń?** Wydaje się, patrząc z perspektywy czasu, iż zasadniczą przyczyną była ówczesna sytuacja polityczna, tak wewnątrz USA jak i na świecie. Nie należy zapominać, iż „zimna wojna" jeszcze trwała, jeszcze nie rozpoczął się okres przechodzenia od konfrontacji do negocjacji. Koła przeciwne odprężeniu i zbliżeniu ze Wschodem, czego zwolennikiem był John Kennedy, były wówczas bardzo silne. Być może właśnie dlatego musiał odejść. Straszak „komunistycznej agresji" dawał doskonałe efekty w kształtowaniu świadomości przeciętnego Amerykanina, a militarno-polityczne lobby zainteresowane w podsycaniu napięcia na świecie, wyścigu zbrojeń, zwłaszcza nuklearnych, umiało odpowiednio potęgować strach obywatela USA przed rakietową inwazją rzekomo grożącą ze strony ZSRR. Niepewność o spokojne jutro wzmagały dodatkowo kryzysy polityczne, jak chociażby kubański z 1962 roku czy kryzys berliński. Gdyby więc nagle okazało się, iż Kennedy padł ofiarą spisku politycznego, byłby to wstrząs zarówno dla społeczeństwa amerykańskiego jak i dla sojuszników USA na świecie, wstrząs, który według opinii kół wojskowo-gospodarczych poderwałby całkowicie prestiż tego supermocarstwa w skali ogólnoświatowej i zagroziłby nawet jego istnieniu. Wmawiano bowiem już od dawna społeczeństwu, że każdy kryzys wewnątrz USA, każde działanie osłabiające jego potencjał militarny, grozi straszliwymi skutkami, to jest natychmiastową agresją ze strony ZSRR. Tym więc chyba należy tłumaczyć wspomniany już fakt, iż mimo rażących niekonsekwencji „Raport Warrena" został zaakceptowany przez ponad 90 proc. Amerykanów, jak i to, że nie szukano innych, prawdziwych sprawców zamachu.

Od tego czasu sytuacja polityczna na świecie zmieniła się w sposób zasadniczy, zmieniło się również spojrzenie na nią przeciętnego Amerykanina, zwłaszcza w odniesieniu do ZSRR. Toteż dziś trzy czwarte tego społeczeństwa jest zdania, że raport nie podaje prawdy o tym, co zdarzyło się wówczas w Dallas. Dlatego też właśnie dziś istnieją szanse większe niż kiedykolwiek dotąd, że zostanie ona wreszcie ujawniona.

ANDRZEJ BLAJER

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

ZOFIA LORENTZ

Zofia Lorentz urodziła się 25 stycznia 1896 roku w Gozdowie (woj. łódzkie). Ukończyła gimnazjum Janiny Pryssewiczówny w Łodzi i Średnią Szkołę Muzyczną im. H. Melcera. W latach 1919—1939 pracowała jako urzędniczka.

Debiutowała w r. 1934 opowiadaniem „Sześciornica" („Naokoło Świata"). W okresie międzywojennym drukowała ponadto swe opowiadania, artykuły i reportaże, m.in. w „Kurierze Porannym", „Robotniku", „Kobiecie Współczesnej".

W 1939 r., w czasie obrony Warszawy, pracowała jako pielęgniarka w szpitalu polowym, za co została odznaczona przez Dowództwo Obrony Warszawy Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Podczas okupacji, związana z Armią Krajową, była czterokrotnie odznaczona, w tym również Medalem Wojska Polskiego.

Po wojnie pracowała jako urzędniczka i działaczka kulturalna w Łodzi (w r. 1967 wyróżniona Odznaką Honorową m. Łodzi), przede wszystkim jednak czynna jest w pracy pisarskiej. W r. 1964 otrzymała Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki, w 1975 zaś Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Debiut książkowy Zofii Lorentz — to „Mali bohaterowie. Opowieść o dzieciach walczącej Warszawy 1940—1944" (1947, II 1971). Ponadto wydała następujące tomy prozy: „Szpital polowy nr 4" (1955), „Transport 77" (1957), „Wakacje pod blaszanym człowieczkiem" (1959, II 1969, III 1972), „Daleko od jabłoni" (1963), „Pierwsza runda" (1967, II 1968), „Końce w wodę" (1971), „Na niby i naprawdę" (1972), „Punkt na ulicy Różanej" (1973). Napisała także szereg sztuk teatralnych, przeznaczonych głównie (choć nie wyłącznie) dla młodego odbiorcy (np. „Jaś i Małgosia" — sztuka lalkowa grana w l. 1955/57 we wszystkich teatrach lalkowych w Polsce; „Czupurek i Czupurka" — sztuka lalkowa tłumaczona z niemieckiego, grana w teatrze „Arlekin" w Łodzi i w teatrze „Lalka" w Warszawie; „Jasio z wody" — utwór sceniczny wyróżniony II nagrodą w konkursie WRN w Łodzi i Oddziału Łódzkiego ZLP). Zofia Lorentz współpracuje także z Łódzkim Teatrem Propozycji, który wystawił jej „Pierwszą rundę" oraz „Mgłę" (prezentowaną następnie w Teatrze Telewizji).

Czołowe miejsce w twórczości Zofii Lorentz zajmują utwory o tematyce wojennej i okupacyjnej. Problemy zrodzone z pasji publicystycznej, ze ścisłego kontaktu z dniem dzisiejszym, a z reguły powiązane z dziedzictwem przeszłości, znajdują wyraz w różnych formach wypowiedzi literackiej. W jednej ze swych sztuk autorka sięga do problematyki integralnie złączonej ze wzrostem techniki i wiedzy medycznej — rozpatruje (pod dość oryginalnym aspektem) psychologiczne i moralne konsekwencje transplantacji serca. Jej utwory pojawiają się również jako głos w dyskusji o tzw. trudnej młodzieży. Z kontaktów pisarki z Sądem dla Nieletnich, z Izbą Zatrzymań MO, z Domami Dziecka zrodziły się nie tylko liczne reportaże Lorentzowej, ale także opowiadania, a nawet powieści.

W utworach o tematyce okupacyjnej pojawiają się liczne echa własnych wspomnień, relacje zasłyszane, zbeletryzowane fakty historyczne. Obrona Warszawy, postawa Polaków w przededniu poddania Łodzi, tragizm i heroizm powstania warszawskiego, bohaterstwo konspiracji (a często i „cywilów", którzy w sytuacjach dramatycznych przekształcają się w bohaterów) — to podstawowe tematy, fascynacje i obsesje pisarstwa Zofii Lorentz. Krytycy podkreślają bezpretensjonalność form jej wypowiedzi, widoczną szczególnie w małych tekstach narracyjnych.

Większość tych utworów przeznaczona jest dla młodego czytelnika. „Transport 77" przybliża, zbyt trudną dla młodszych dzieci, problematykę zawartą w „Kamieniach na szaniec". Kontynuację biografii bohaterów „Zaprawy" (drugiego opowiadania z tomu „Transport 77") w okresie powstania warszawskiego i w miesiącach późniejszych, stanowi „Punkt na ulicy Różanej". Bolesne przerodzenie się zabaw w wojnę „na niby" — w wojnę prawdziwą, obrazuje najdojrzalsza powieść „Na niby i naprawdę". W tej samej grupie utworów pomieścić należy także „Małych bohaterów" — książkę, która stare wątki baśniowe osadziła w nowych, często jakże groźnych „dekoracjach" najnowszej historii. Tragedia dziecka w czasie okupacji, problem utraconego dzieciństwa z jego naturalnymi przywilejami, a równocześnie poświęcenie dzieci, nieomal „dorosła" świadomość własnej roli w walce — to przewijające się we wszystkich wspomnianych książkach tematy i motywy.

Autorce wprawdzie nie zawsze udało się zupełnie uniknąć prezentowania wojny w konwencji Wielkiej Przygody, w sumie jednak stwierdzić można, że opisy udziału dzieci w różnych formach walki z okupantem stanowią swego rodzaju dokument, nie tracąc jednocześnie walorów literackich, tworzonych przez gawędziarski ton relacji i umiejętnie podtrzymywaną linię napięcia emocjonalnego.

Obok dominującego w prozie Zofii Lorentz przekonania, iż od bagażu wojennych doświadczeń i bolesnych wspomnień nie sposób się uwolnić, równie silne jest przeświadczenie, że „człowiek jest dobry". Wiara ta nakazuje pisarce omijać łatwe, jednoznaczne potępienia owych „trudnych" dziewcząt i chłopców, na rzecz szukania przyczyn tych wykolejeń. Z kolei przyczyny te każą nam znów zwrócić się ku wojnie, choć nie zawsze dzieje się to bezpośrednio (jak np. w „Daleko od jabłoni"). Młodzi-gniewni z powieści Z. Lorentz chcąc oderwać się od wojennego dziedzictwa swych rodziców i opiekunów, ulegają ostatecznie fascynacji właśnie owym dziedzictwem, ilustrując jakby swymi metamorfozami wyższość moralną dorosłych, którzy przeszli „próbę wojny". Ten czynnik nie stanowi jednak jedynej eksplikacji. Zofia Lorentz stara się wykazać w sposób możliwie pełny wielość i złożoność tych czynników. W imię rzetelności pisarskiej stara się tak dalece poszerzyć krąg motywacji, iż nie zawsze udaje się jej uniknąć w tych niewielkich utworach wrażenia pewnego przeładowania poruszaną problematyką, liczbą i różnorodnością stawianych pytań. Przy tym wszystkim autorka nie popada wszelako w łatwą dydaktykę, sentymentalizm czy moralizatorstwo. Znakomitym przykładem może tu być choćby „wyważone", pozbawione łatwego patosu, piękne opowiadanie „Dzień Matki" z tomu „Końce w wodę".

Książki Zofii Lorentz przykuwają uwagę. Sensacyjne elementy akcji, skrótowość rozwiązań fabularnych, język i styl ułatwiają ich odbiór, zwłaszcza czytelnikowi młodzieżowemu. A przecież większość pozycji tej autorki przeznaczona jest dla tego właśnie kręgu odbiorców.

W pisanym tuż po wojnie „Szpitalu polowym" Zofia Lorentz stwierdziła: „W owe straszne dni poznałam smak bohaterstwa i gorycz zawodów (...). Wtedy też postanowiłam odtworzyć kiedyś rzeczy wówczas przeżyte, widziane i zasłyszane". Dziś można z satysfakcją, w imieniu szerokich rzesz czytelników, i bez przesady wyrazić opinię, że dotrzymała słowa.

ELŻBIETA PLESZKUN-GAWLIKOWA

OBYCZAJE

BIMBER W BIAŁYM MERCEDESIE

Dalszy ciąg ze str. 1

Pabianic, by nakarmić zwierzęta. W 1973 roku, w odległości 5 metrów od budynku gospodarczego, Damszel postawił fundamenty i wyciągnął mury domu mieszkalnego z czerwonej cegły. I stanął. Na półpiętrze i dach zabrakło funduszy i siły.

— Groszem to on nie śmierdział — mówi sąsiad Milczarek — Męczył się, chłopina, przy tej budowie, co rusz do mnie zachodził, żeby mu w czymś pomóc. A to deskę wziął, to znów kielnię, rajberkę, co tylko było potrzebne. Trzy razy płaciłem za niego za światło, bo albo go inkasent nie zastał, albo Damszel nie miał pieniędzy.

W 73 przed Wszystkimi Świętymi przed obejście po raz pierwszy zajechał biały „Mercedes", z którego wysiadł Kazimierz Grzegorz, mężczyzna w wieku „koło czterdziestki".

— Na moje wielkie nieszczęście i na biedę moją. Znałem go wprawdzie z widzenia, bo jeździłem tą taksówką, ale on mnie nie znał. Mieszka blisko mojego teścia i ten musiał mu powiedzieć, że mam zabudowania w Petrykozach. Żebym już miał pobudowany ten dom, to nigdy bym się na coś takiego nie zgodził...

2.

Kazimierz Grzegorz to jest facet z inicjatywą, a do takich ponoć świat należy. Jeszcze w 1965 roku siedział u ojca na sześciohektarowym gospodarstwie w Żytowicach. Dziś ma tego białego „Mercedesa", rocznik 1968, typ 220 D, za którego można kupić gospodarstwo. Ma też własny dom mieszkalny w Pabianicach przy ulicy Niedużej, gdzie mieszka z żoną Haliną, choć są po rozwodzie, i z dwoma synami. W podwórzu garażuje furgonetkę marki „Żuk", która jest własnością ojca, Ignacego Grzegorza, żeby było sprytnie, bo stary jeździ, ale tylko na rowerze. „Żukiem" natomiast jeździ żona Halina. Też, aby było sprytnie, tzn., żeby nikt Kazimierza Grzegorza nie posądzał o kolportowanie bimbru tym „Żukiem". Ponadto taksówkarz posiada prywatną pieczarkarnię i w sezonie trudni się zbieraniem grzybów.

— Z chłopskiego syna wyrosło panisko — mówią zawistni.

Skoro tak gadają, to trzeba pokazać, że można więcej. Coś z tego porzekadła o wsadzaniu kury na grzędę siedziało w Kazimierzu Grzegorzu. Dlatego też dokonawszy przeglądu obejścia, zwrócił się do R. Damszela z ofertą wprawdzie do odrzucenia, ale kuszącą.

— To jest miejsce w sam raz na bimbrownię — powiedział.

Damszel wystraszył się i od razu zaczął robić tyły.

— Chcę spokojnie wybudować ten dom — powiedział.

— Jak ja ci pomogę, to wybudujesz!

— Złapią nas z miejsca!

— W szczerym polu? A jakby nawet złapali, to ja będę wszystko łatwił.

Damszel zmiękł nieco i spytał, co by z tego miał.

— Od pięciuset do tysiąca miesięcznie — powiedział Kazimierz. — Zależeć będzie od wielkości urobku.

Gospodarz zmiękł zupełnie, bo pomyślał o budowie domu. Ale co do ceny był twardy i zgodzili się ostatecznie na tysiąc miesięcznie. Damszel wręczył taksówkarzowi klucze od drzwi środkowego pomieszczenia w budynku gospodarczym.

3.

Kazimierz Grzegorz lubił szybką robotę. Raz dwa przywiózł „Żukiem" - aparaturę i wraz z ojcem zainstalował ją w budynku gospodarczym. Zwiózł węgiel i drewno, dwieście kilogramów cukru i drożdże, i robota mogła już ruszyć. Dla niepoznaki nakrył aparaturę i beczki kocami i szmatami. Jak Damszel zobaczył gorzelnię, to ponownie się spłoszył.

— Nie da rady! — powiedział — Sąsiad wejdzie, zobaczy i pij dupa wodę!

— Przestań trząść portkami! — zdenerwował się młody Grzegorz, nie przewidując, że portki odegrają w tej sprawie rolę niebagatelną. — Praca pójdzie nocą, nikt nie zauważy.

— Dobra — zgodził się Damszel — ale tylko do wiosny. Ludzie zaczną kręcić się w polu i wywąchają. Tylko do wiosny!

Ustna umowa została zaklepana. K. Grzegorz czynsz płacił z dołu, w końcu każdego miesiąca, toteż Damszel wiedział, kiedy pójść i odebrać swą dolę. Reszta go nie interesowała.

Grzegorzowie nocą przywozili opał, cukier i drożdże. Wodę czerpali z Damszelowej studni. Gotowali nocą. Po tygodniu zgotowali pierwszych 700 litrów zacieru. Po zakończeniu gotowania na drzwiach zawsze wisiała solidna kłódka.

Czysty bimber stary Grzegorz zlewał do trzech dwudziestolitrowych plastykowych kanistrów, które wieszał na rowerze i pchał do Pabianic, gdzie rynek jest chłonny, bo się stopa podniosła.

— Gotowali trzy razy w miesiącu po 700 litrów zacieru — mówi R. Damszel — a cykl produkcyjny trwał 3—4 noce, dobrze nie wiem, bo nie gotowałem z Grzegorzami. Nie wiem też, ile spirytusu wychodziło z tego zacieru.

Każde gotowanie kończyło się bimbrowniczym pępkiem, Damszel otrzymywał w sposób konspiracyjny pół litra świeżego samogonu, który umieszczano w miejscu umówionym, czyli koło pustaków.

— Dziecko żem nie jest — powiedział sąsiad Milczarek — i swój smak mam, to wiem, żem pił bimber z Damszelem. Częstował, to piłem, ale skąd go brał, nie wiem, jak mi Bóg miły.

W sumie Damszel otrzymał sześć litrów pępkowego.

W kwietniu 74 gospodarz przypomniał gorzelnikom ustnie zawartą umowę, toteż zamknęli fabryczkę, ponieważ ludność w Petrykozach wyruszyła na pola. Urządzenia wywieziono do Pabianic. Kiedy jednak pola legły do snu po wydaniu płodów, produkcja ruszyła z kopyta. Pod koniec października Damszel pojechał na działkę i zauważył aparaturę ustawioną na nowo. Pięć tysięcy wziął już za czynsz, ale jakby tknięty przeczuciem, przed drugim gotowaniem wycyganił od Grzegorzów pięćset złotych zaliczki...

4.

Bimber to jest tajemnica publiczna i wielki masoński sekret. Solidarność społeczna kryje go mocno i szczelnie. Osobiście nie ujawniłem żadnej bimbrowni, ale nie wiem, czy mogę się nazwać antyspołeczną jednostką. Ludzie mówią głośno o bimbrze, jednakże nie tam, gdzie trzeba. Jest to ponoć solidarność wyniesiona jeszcze z nocy okupacyjnej, lecz nie bardzo w to wierzę.

Bimber jest i nie ma go. Zależy jak dla kogo. Czasem tylko, kiedy sąsiad sąsiadowi miedzę przyorze, trzaśnie w potylicę dziabką, spojrzy zawistnym okiem na wybudowaną z pędzonego samogonu szklarnię, albo kiedy jedna gospodyni spoi drugiej męża, wtedy owszem, rozlegnie się wrzask, że u Kowalskiego śmierdzi deptanką.

Do posterunku MO w Piątkowisku doszedł w końcu przeciek, że na krańcu Petrykozów pracuje bimbrownia. W nocy 21 listopada ubiegłego roku specjalna ekipa znalazła się w pomieszczeniu o betonowym stropie i cementowej posadzce, taki bunkier bez okna, gdzie tylko drzwi dwuskrzydłowe, z wywierconymi u góry dwoma otworami. Temperatura w pomieszczeniu około 7 stopni Celsjusza, pod aparaturą jeszcze ciepły popiół ze spalonego węgla i drzewa.

Przy północnej ścianie znajdował się parnik połączony rurą z kominem. W pokrywę, przyspawaną na stałe, wmontowana była rurka metalowa, potem rurka gumowa, połączoną z kolei z rurkami spiralnymi chłodnicy, którą była 200-litrowa beczka wypełniona wodą...

Zaraz, zaraz! Koniec z tym wykładem popularnonaukowym na tematy bimbrownicze, bo i mnie może ktoś wsadzić.

Milicjanci pochylili się nad beczką pełną płynu koloru kawy z mlekiem. Wszyscy wąchali i kiwali głowami, bo już wszystko było jasne.

Oświetlenie elektryczne prowizoryczne, na ścianie lampa naftowa lecz mimo tych niedostatków dojrzano, co trzeba: dwa fabrycznie nowe parniki, siedem stulitrowych beczek drewnianych, trzy beczki metalowe z rurkami spiralnymi (chłodnice), dziewięć baniek metalowych, wiaderka, trzy lejki (duże 1 małe), siedem worków cukru po 50 kg i jeden alkoholomierz.

W beczkach znajdowało się 740 l zacieru i 50 l wódki samogonowej. Po wzięciu trzech półlitrowych próbek zacier zniszczono, natomiast aparaturę i wódkę przewieziono na posterunek MO w Piątkowisku.

Adwokat Grzegorzów zażądał powołania świadka na okoliczność zgubienia roboczego ubrania przez Ignacego Grzegorza.

Na beczkach z zacierem milicja znalazła męskie spodnie, granatowe w paski. W prawej kieszeni spodni znajdował się kwit przemiałowy nr 739418, wystawiony na nazwisko Ignacego Grzegorza, zam. w Żytowicach...

5.

Najpierw K. Grzegorz odczuwał kłucia w okolicy serca, ustępujące po odkaszlnięciu oraz kluchę w gardle i bóle głowy, ale zbadał go lekarz sądowy i oświadczył, że siedzenie nie spowoduje niebezpieczeństwa dla zdrowia. Następnie K. Grzegorz powiedział, że nie ma pojęcia, jak się robi bimber. Damszela nie zna, podczas konfrontacji pierwszy raz widział go na oczy i bardzo się dziwi, dlaczego on zeznaje tak wrednie. Wieczorem funkcjonariusz MO i świadek, ob. H. B., słyszeli jak K. Grzegorz krzyczał w areszcie „Romek, mów, że my się nie znamy", na co Damszel odpowiadał słabo, że „dobra, dobra".

K. Grzegorz usiłował zasugerować prokuratorowi, że ojciec jest niższy od niego o 20-30 cm i tęższy, co miało wskazywać na starego wdowca, lat 70, jako producenta deptanki. Jest to znana metoda bimbrowników, polegająca na wstawianiu do tajnej gorzelni zramolałych emerytów oraz niedowidzących babuszek, nad którymi sąd ma litość i długo zastanawia się nad wymierzeniem kary.

Ignacy Grzegorz nie przyznał się do winy. Stwierdził, że nigdy nie był w Petrykozach, ale zaraz potem przypomniał sobie, że synowa Halina ma tam 9 mórg ziemi, które jej zapisał ojciec, Leon Klimek. Kazimierz podwoził ich do prac polowych, na żniwa i wykopki. Na to ob. Adam Olejnik, kierownik Kółka Rolniczego, po pięciu klasach podstawówki, który dowiedział się o bimbrowni, kiedy jego traktorzysta przewoził aparaturę na posterunek, oświadczył, że Grzegorzowa chyba nie ma tych mórg w Petrykozach, bo nigdy nie zamawiała usług w Kółku.

Magazynier GS w Pabianicach mówi, że jesienią 73 r. K. Grzegorz kupował stulitrowy parnik, dał dwie dychy robotnikom, którzy załadowali parnik do „Żuka". Kupił go na nazwisko St. Bartczaka, szwagra z Gorzeszowa. Referent skupu żywca, Zuzanna S., powiedziała, że ona prowadzi kwity „magazyn wyda" i że nabywca nie musi ujawniać nazwiska, ale ona dobrze pamięta, że K. Grzegorz nabył dwa parniki. Poznała go wśród okazanych mężczyzn, magazynier też. A szwagier Bartczak, masarz z Chorzeszowa, oznajmił, że owszem, kupował dwa parniki, ale po pierwsze — trzy lata temu, po drugie — 60-litrowe, a po trzecie — nie w Pabianicach, lecz w Wodzieradach.

Kierowniczka jednoosobowego sklepu spożywczego WSS nr 66 w Pabianicach przypomniała sobie, że wiosną 74 dwóch mężczyzn nabyło 100 kg cukru i odjechało „Żukiem". W sklepie była taka mowa, gorączkowa i pełna popłochu:

— Ten ma chody i wie, co w trawie piszczy!

— Ludzie, za dwa dni będzie podwyżka.

— Jak Gierek zamroził ceny, to nie będzie!

— To na co Grzegorzowi tyle cukru?

— Pszczółki będzie podkarmiać, he, he, he!

— Te pijane pszczółki znaczy się!

Jak kto ma białego „Mercedesa", to rzuca się w oczy i jest bardzo znany.

Pozostał jeszcze sąsiad Milczarek, który pił z Damszelem bimber. Ze swego podwórza odległego o 50 m, widział o zmierzchu podjeżdżające do Damszela pojazdy, ale kto chodził po podwórku, nie mógł dojrzeć. Dym lecący z komina też widział w nocy księżycowe, lecz ani pomyślał, że to bimbrownia. Te pojazdy, to furgon „Żuk" i jasna taxi, czyli biały „Mercedes" którym zawsze przyjeżdżał ten sam mężczyzna. Wprawdzie ekspert zbadał dokładnie „Mercedesa" i niczego się nie dopatrzył, ale jest niemożliwością, aby stary Grzegorz wywiózł na rowerze ogromne ilości bimbru. Młody woził bimber w białym „Mercedesie"...

Teraz będzie zabawa rachunkowa. Było 15 „gotowań" po 700 litrów każde, co daje 10.500 litrów zacieru. Nie wiem, ile z tego wychodzi gorzały. Eksperci wyliczyli, że średnio 3000 litrów spirytusu. Spirytus leci po sto dwadzieścia za litr. Osobiście nie nabywałem...

RYSZARD BINKOWSKI

Wyrokiem Sądu Powiatowego w Łasku Kazimierz Grzegorz skazany został na 3 lata pozbawienia wolności i 200 tys. zł grzywny, jego ojciec, Ignacy Grzegorz na 2 lata i 160 tys. zł grzywny, natomiast Romuald Damszel otrzymał dwa lata, z warunkowym zawieszeniem wykonania kary na okres 5 lat oraz 40 tys. złotych grzywny. Grzegorzowie muszą również pokryć koszty procesu sądowego w wysokości 75 tys. złotych.

KORESPONDENCJA ZAGRANICZNA

SĘPY nad BOMBAJEM

Dalszy ciąg ze str. 1

mikroskopijne legowisko, mieszczące dorosłego człowieka tylko pod tym warunkiem, że się maksymalnie zwinie w kłębek, cegłę, a na niej niewielki gliniany garnuszek, jedną czy dwie puszki po konserwach — ot i całe gospodarstwo. Przed „wejściem" do takiego domostwa zobaczyć można nierzadko matkę karmiącą wyschniętą piersią niemowlę, albo maleńkie nagie dziecko raczkujące nieporadnie po szarym betonie. Można też czasem zobaczyć w nikłym świetle dolatującym tu od ulicznej latarni, w głębokim półmroku młodego człowieka, siedzącego „po turecku" i czytającego... książkę. Siedzi tak nieruchomo, nie zważając na wielkomiejski ruch.

Jadąc dalej ku Malabarskiemu Wzgórzu nowoczesną ulicą widzi się rozległe place do gry w krykieta, po których z gracją uwijają się sportowo ubrani młodzi mężczyźni. Są tam także luksusowe, wielopiętrowe domy, z tarasami na szczytach, gdzie rosną w wielkich donicach strzępiaste palmy. Są starannie pielęgnowane angielskie trawniki, tu i ówdzie portier w strojnej liberii.

Na Wzgórzu Malabarskim, kiedy już się tam wejdzie, jest utrzymany bardzo elegancko park: wygracowane alejki, idealnie równe, strzyżone trawniki, szpalery róż, ławeczki. Pod ziemią jest ogromny zbiornik, w którym magazynuje się wodę pitną dla Bombaju. Ale uwagę turystów zwraca niewysoki, nieciekawy architektonicznie budynek stojący na skraju parku. Nad jego płaskim dachem krążą bezustannie sępy, wrony i kruki... Co je nęci?

Czekają na żer... Tam bowiem, wśród starych drzew, w samym sercu Bombaju, jest miejsce niedostępne dla postronnych, dla profanów, gdzie zgodnie z prastarym obyczajem czciciele ognia, wyznawcy Zaratustry, Parsowie, składają zwłoki swych zmarłych. Jest tam — objaśnia się turystów — studnia, niezbyt wysoka, zamknięta od góry żelazną kratą — rusztem Tam składa się zmarłych... Kości spadają poprzez ruszt w dół... Kości objedzone przez sępy i oczyszczone przez drobniejszych skrzydlatych padlinożerców...

Przy jednej z ulic, w centrum miasta, można obejrzeć fronton, odznaczający się dość niezwykłą, dziwaczną architekturą — świątyni wyznawców Zaratustry. Krata przed wejściem jest jednak zamknięta, a tablica z napisem angielskim i hindi objaśnia, że wejść do środka mogą tylko czciciele ognia...

DZIWNY STRAJK

Oglądałem też bombajską „ulicę rozkoszy" zabudowaną po obydwu stronach kilkupiętrowymi kamienicami, do których wiodą bardzo wąskie, otwarte wejścia. Wejścia te z reguły są jednak — że tak powiem — zatarasowane przez jedną z pensjonariuszek, która w obcisłej, kolorowej sukience rozciętej od kolana do pępka i od szyi — do tamtąd wyzywająco ozdobiona makijażem we wdzięcznej pozie, z pięknym uśmiechem, reklamuje usługi świadczone przez zakład wewnątrz. Tu i ówdzie pilnują interesu dość ponuro spoglądający panowie. Ostrzega się więc turystów, aby raczej omijali tę ulicę. Sporo w tym przesady, bo jednak klienta, choćby tylko potencjalnego, traktuje się jak należy, słusznie uważając, że kupiec na uprzejmości i gościnności może tylko zyskać. A i „towar" jest młody i uroczy.

Nie miałem jednak okazji sprawdzić, czy „firmy" były też czynne w czasie strajku generalnego, jaki przeprowadzono w Bombaju pewnego — zresztą skądinąd — wolnego od pracy dnia.

Już poprzedniego wieczoru ostrzegano nas, by raczej pozostać w hotelu, by nie narazić się w tym dniu na ewentualne nieprzyjemności ze strony bombajczyków.

— Strajk generalny to nie żarty i biada łamistrajkom! — powiadano. — **Hotel będzie pracował, ale tajnie, przy zasłoniętych firankach i z zachowaniem ostrożności, aby nie drażnić strajkujących.**

Spytałem wówczas pewną Hinduskę, osobę kulturalną, światową, co jest powodem tego radykalnego aktu, jakim jest niewątpliwie sparaliżowanie życia wielkiej metropolii Zapewne — myślałem — w tym kraju nękanym ciągle licznymi klęskami i plagami natury gospodarczej, chodzi o jakieś rozgrywki ekonomiczne: podwyżkę płac, premie czy dodatki, ubezpieczenia czy coś w tym rodzaju.

— Och, bynajmniej — odpowiedziała owa ubrana z europejska, wyglądająca na lat sześćdziesiąt kilka, a licząca sobie — co sprawdziłem — dokładnie trzydzieści sześć wiosen i jesieni... **— Chodzi o spór terytorialny. Pomiędzy stanem, którego stolicą jest Bombaj — czyli stanem Maharashera, a sąsiednim stanem Gujarat od dawna trwa spór o kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych terytorium...**

Naiwny i przejęty przykładami skrajnej nędzy ludzkiej, które spotkać można w tym kraju i mieście na każdym kroku, spytałem, nieco z przekorą, czy chodzi tu o oddanie owych terenów sąsiedniemu stanowi, by mieć mniejszy kłopot?

— Ależ, wprost przeciwnie! My chcemy, by oni nam oddali te ziemie...

Zjeść w tym kraju beczkę soli, to mało, aby go naprawdę zrozumieć...

Następnego dnia, wczesnym rankiem, po śniadaniu wydanym szybko i jakby ukradkiem przez służbę hotelu „West End", nie mogliśmy w kilku usiedzieć na miejscu, a perspektywa podporządkowania radom i pozostanie na cały upalny, choćby i strajkowy dzień w czterech ścianach — wydawała nam się nie do zniesienia. A więc — w miasto!

Już zaraz za progiem zastanawiająca była cisza i spokój, jakże różne od tego, co się tu spotykało w dniach poprzednich. Ale oto zza węgła wyszła grupka małych obdartusów i najwyraźniej zmierzała ku nam. Uzbroiliśmy się wewnętrznie i przygotowaliśmy na najgorsze, jakież więc było nasze zdziwienie, gdy malcy minęli nas z pełnymi dziecięcego ciepła uśmiechami na buziach, pokrzykując wesoło i serdecznie: „Good morning, sir..."

Szliśmy w trójkę przez miasto, pełne odświętnych wypucowanych tłumów, spacerujących środkiem ulic. Mężczyzn głównie, bo nie jest tu przyjęte, by kobieta, nawet jeśli jest żoną, szła ulicą obok męża. A spotkania zakochanych czy narzeczonych są w Indiach tak trudne, jak u nas znalezienie w biały dzień na Piotrkowskiej banknotu tysiączłotowego... Bardzo często wszakże można tu spotkać pary dwóch mężczyzn trzymających się za ręce, idących pod rękę, lub obejmujących się w pół... Co kraj, to obyczaj!

Trąbiąc głośno przejeżdżały ulicami wojskowe jeepy, załadowane żołnierzami, z bronią gotową do strzału, czasem przejeżdżał samochód z policją, raz wyprzedził nas jeep z ekipą telewizyjną, kilka razy zobaczyliśmy indyjskiego „Ambasadora" (Fiat 1100) z dużymi czerwonymi krzyżami namalowanymi na szybach i drzwiach. To wszystko...

Spotkaliśmy również prywatny samochód, który miał pocięte w kilku miejscach opony. Widzieliśmy taksówkę z charakterystycznym, malowanym na biało dachem, która miała urwany zderzak, wybite szyby, poprzecinane opony. Tak załatwiono łamistrajków.

Wczesnym popołudniem, czując w kościach kilometry pieszego spaceru, wróciliśmy zgłodniali do hotelu. Spóźniliśmy się na obiad, więc można było najpierw wysłuchać relacji tych, którzy karnie nie wyszli za próg, bojąc się o własną skórę.

Jeszcze dygotali z wrażenia. Otóż bowiem wkrótce po naszym wyjściu do miasta, ktoś widać doniósł, że hotel „West End" tylko udaje, że strajkuje obsługując, w samej rzeczy, gości jak zwykle.. Nie wiedzieć skąd, zebrała się kilkusetosobowa grupa Hindusów i rozpoczęło się regularne oblężenie. Sytuacja była ponoć groźna. Obiecywano personelowi, że zostanie pobity, odgrażano się, że wylecą szyby, jeżeli postanowienie o zaniechaniu wszelkiej pracy nie będzie honorowane... Jakoś się to rozeszło po kościach, ale najmniej odważni turyści mieli za swoje...

Po obiedzie, wydanym ukradkiem i szybko, wyszliśmy znowu do miasta. Strajk wygasł, ponieważ miał trwać od wschodu słońca do zmroku. Niektóre straganv, niektóre małe sklepiki, kiedy tylko słońce utonęło w morzu, otworzyły podwoje. Żebracy wylegli i zaatakowali ze zdwojoną energią. Brzeg zatoki Back zapłonął tysiącami świateł. Zaczęły pulsować ogromne reklamowe neony..

Sępy usadowiły się na palmach czekając nocy, by odpocząć przed codziennym krążeniem nad tajemniczym miejscem ostatniego pobytu na ziemi wyznawców Zaratustry. Z kamieniczek wzdłuż „ulicy rozkoszy" wyszły młodziutkie, śliczne dziewczęta...

Czy dowiem się kiedyś, czy i one strajkowały?

JÓZEF POTĘGA

SPRAWY LUDZI

CZŁOWIEK DOROSŁY

Człowiek dorosły przechodzi kryzys tzw. „samowiedzy" w kwestii zasadniczej, w kwestii oceny własnej pełni. Czasami myśli, że jest jeszcze młody i martwi się, czasami myśli, że jest już stary i martwi się. „Niech sobie inni" myśli człowiek dorosły „uważają, że jestem stary, uważają, że jestem dorosły — to nawet dobrze, że tak uważają, ale ja sam siebie nie będę bujał — człowiek jest albo stary, albo młody, ale dorosły — dorosły, to nic nie znaczy, to punkt umowny między młodością i starością". Człowiek dorosły uważa, odczuwa, mniema, że idzie na linie między kolebką i trumną. Oczywiście woli kolebkę, ponieważ nauczono go, że życie jest radosne a śmierć straszna. W tych kwestiach od stuleci mamy złych nauczycieli. O tym, że życie, ściślej narodziny są radosne mogli by kompetentnie nauczyć nowo narodzeni, a oni przecież nauczać jeszcze nie potrafią. Znowu o kwestii, że śmierć jest straszna trzymać mogliby kompetentnie wykłady umarli, a przyznacie, że posadzenie ich na katedrze to rzecz bezcelowa i niesmaczna. Tak więc człowiek dorosły trzyma się między wartościami niesprawdzonymi, urojonymi.

Człowiek dorosły jest w sytuacji szczególnie dwuznacznej zarówno w stosunku do niemowląt, jak i w stosunku do nieboszczyków. Niemowlęta piastują, karmią, a może należałoby z nimi zrobić coś zupełnie innego, ale co? Ale co? Nieboszczyków pakuje się do trumny, mówi i robi nad ich trumną raczej rzeczy bezsensowne, wreszcie zdenerwowany zakopuje trumnę ziemią i sadzi kwiatki. „Grób musi być w porządku" powiedziała mi stara kobieta „Ale dlaczego? „Bo musi!"

Co do mnie sprytnie ukrywam, że jestem dorosły, udawałem młodzieńca, teraz udaję pana w podeszłym wieku — byle nie wiedzieli, byle nie znali prawdy. Ale kto to są „Oni", którzy mają nie wiedzieć i jaka jest prawda, którą muszę ukrywać. Przecież „Oni", to w żadnym wypadku niemowlęta, ani umarli. A oni, ludzie dorośli, ależ oni sami są w położeniu podobnym do mojego, niech się strzegą bym nie zdemaskował ich, nie są przecież ani młodzi, ani starzy, a dojrzałość? Dojrzałość to punkt umowny między młodością a starością przedmiotowo nie istnieje. Właśnie to nieistnienie to rzecz wstydliwa, dlatego fasada istnienia najpełniejszego. Jesteśmy przecież najwięksi, najsilniejsi, najwięcej jemy, najwięcej umiemy. Jak to pięknie być dojrzałym, człowiek wie bardzo dużo, wie na przykład, że na pewno umrze i że na pewno się nie narodzi. Chociaż są i tacy, którzy wierzą we wielokrotne narodziny — wcielenia, ale to tylko takie nienaukowe jakieś. A my ludzie dorośli jesteśmy znakomicie wykształceni. Tylko, żeby tak wiedzieć. Kto nas wpakował w tę awanturę?!

BERNARD SZTAJNERT

POCHWAŁA DYSTANSU

Lektura **„Rekolekcji dla głuchoniemych"** Krzysztofa Skudzińskiego sprawia wiele przyjemności. Jest to przede wszystkim zbiór dobrych anegdot z życia małego współczesnego miasteczka. Można uwierzyć autorowi, gdy mówi, że są autentyczne, że nie byłby w stanie ich wymyślić. Skudziński umie patrzeć i umie opowiadać. A są to zalety ogromne.

Dziwił się swego czasu Witold Gombrowicz, że w XX wieku istnieje tak dużo arcydzieł wpływających na dalsze losy literatury, jednak arcydzieł nie nadających się do czytania, ciężkich, nudnych, zawiłych. Jakim cudem właśnie one decydują o rozwoju literatury, skoro mało kto jest w stanie je przeczytać? Dlaczego literatura nie chce się podobać? Dlaczego sięgając do spraw najcięższego kalibru rezygnuje z wdzięku, uroku? Można by próbować odpowiedzieć na pytania Gombrowicza w ten sposób: od pewnego czasu zostały zachwiane proporcje ważności między ideami a konkretem. Idee wydają się tak wielkie, tak wspaniałe, majestatyczne, że wszystko, co nimi nie jest, musi być niegodne uwagi, małe, śmieszne, nieprzyzwoicie konkretne, jednorazowe, nietrwałe, przypadkowe.

Skudzińskiego nie interesują wysokie piętra ogólności. Nie jest dla niego ważny Arystoteles Wesołowski jako typowy małomiasteczkowy fryzjer. Opisuje jedną konkretną postać. Właśnie nie Jana Kowalskiego, ale Arystotelesa Wesołowskiego. Hrabia Mileyski interesuje go jako dziwak-arystokrata, który przypadkowo uchował się w małym miasteczku. Ani nam do głowy przyjdzie traktować go jako przykład wroga klasowego a jego prześmieszną piosenkę jako wywrotową działalność. Wielka historia ujrzana w swoich konkretach, nie w żelaznych prawach rozwoju, zyskuje nagle zupełnie inny wymiar.

„Znam życie, ale czasami nie wiem, o co chodzi" — tak zaczyna swoją opowieść narrator „Rekolekcji dla głuchoniemych" I opowiada: **„Później hrabia Mileyski wymyślił piosenkę, którą śpiewał przechadzając się obok ogrodzenia fabryki cementu, za którym widać było ciężką pracę robotników:**

Jest zima.
Mróz i zawieja.
Robotnik idzie do pracy.
Jak dobrze, że to nie ja.

Przechadzał się przed ogrodzeniem cementowni, śpiewając pełnym głosem tę piosenkę, aż w końcu robotnicy wybili mu sztuczne zęby, a potem poszedł do kicia".

W innym miejscu Skudziński opowiada historię o tym, jak kilku emerytów wysłało Alojzemu Nowakowi, zwanemu Karaluchem, urzędowe pismo ostemplowane orłem odbitym z monety, wzywające go, by stawił się **„z młotkiem, deskami i torbą gwoździ, bo 2 kilometry od Nagłowic świat deskami się zabija".** I Karaluch poszedł.

Skudziński podobnymi opowiastkami bawi czytelnika znakomicie. Jednak sprawę jego debiutu jestem skłonny potraktować poważniej. Warto zestawić Skudzińskiego z innymi pisarzami tzw. młodej literatury, zwłaszcza z grupy „Teraz". Literatura powinna dać obraz naszych czasów. Życie współczesne ginie nie zanotowane przez pisarzy. Tylko posiadając głęboką wiedzę o współczesności jesteśmy w stanie kształtować przyszłość. Tych parę ogólnikowych sformułowań charakteryzujących założenia tzw. młodych pisarzy zawiera w sobie w gruncie rzeczy bardzo słuszną i ostrą analizę stanu literatury.

Sytuacja jest w jakiś sposób dramatyczna, ale by z niej wyjść, trzeba się pozbyć towarzyszącego temu wszystkiemu patosu. Kiedy autor spogląda na konkretnych ludzi, może zobaczyć sferę komiczną, niską, wulgarną. Jeżeli w pryszczatym nosie Alojzego, dziurawych skarpetkach Arystotelesa nie dostrzega pryszcza ani dziury, niestety, trzeba stwierdzić, że zwracanie oczu jest tylko zawracaniem głowy, gdyż i Alojzego i Arystotelesa traktuje ciągle jako emanację, wyraz lub wcielenie idei, prawa itd. Jeżeli naprawdę potrafi odwrócić wzrok od idei i spojrzeć na człowieka, musi w pewnej chwili wybuchnąć śmiechem, jakkolwiek wiele miałby współczucia dla nijakości życia Alojzego i Arystotelesa. Literatura konkretu nie jest literaturą patosu. Jeżeli jesteśmy skłonni tak sądzić, oszukujemy się i zapominamy o wyzwalającej sile śmiechu.

Gawędziarz Skudziński nie dał się zaszantażować potocznym wyobrażeniom o roli pisarza. Wybrał taką, jaka mu najbardziej w pewnym momencie odpowiadała. I nie zdziwmy się, jeżeli jego następna książka będzie zupełnie inna od tej. Ma wystarczający dystans do swojego pisarstwa, by być swobodnym. Co Skudziński zrobi z poczuciem swobody? W „Rekolekcjach" dyskretnie zauważa niedogodność tej sytuacji, której zalety potrafi bardzo sensownie wykorzystać. Narrator opowiadania tytułowego, pierwszego po swoich „latach wędrówek" traci poczucie naturalności samego siebie. Dopóki wędrował po świecie, był małomiasteczkowym sobą oddelegowanym chwilowo do innych miejsc. Kiedy powrócił, przekonał się, że przestał być mieszkańcem małego miasteczka, a nie stał się mieszkańcem wielkiego świata. To zawieszenie, nienaturalność sytuacji, bezdomność, pozwalają mu widzieć lepiej od innych.

Są to tylko zarysy pewnych głębszych dramatów. Ale dobrze się stało, że Skudziński nie przejął się nimi. Może znów otrzymalibyśmy bardzo ambitne, ale bardzo niestrawne dzieło. Liczę, że jego umiejętność utrzymania dystansu wobec przedmiotu własnego opisywania przyniesie nam pełne umiaru, uroku, zabawności książki, przywracające rzeczom ich konkretne wymiary w miejsce dotychczas podawanych wymiarów idei, w których rzeczy partycypują.

JERZY PORADECKI

Krzysztof Skudziński, „Rekolekcje dla głuchoniemych". Kraków 1974, Wydawnictwo Literackie.

TEATR

KRYSTYNA PIASECZNA

AKTOR WŚRÓD PARADOKSÓW

Fot. Włodzimierz Parys

Łódź, drugie co do wielkości miasto w Polsce, gdzie działa ambitna opera, sześć scen dramatycznych plus jedna wędrowna, operetka i teatry lalkowe — zatrudnia ogółem na etatach aktorskich 192 osoby. Tylko w roku 1974 aktorzy łódzkich scen mieli okazję zmierzyć się z postaciami dramatów W. Szekspira („Romeo i Julia"), Eurypidesa („Medea"), B. Brechta („Matka Courage"), Beaumarchais („Wesele Figara"). Mogli sprawdzić swoją przydatność w „Pożądaniu w cieniu wiązów"" O'Neilla i w widowisku muzycznym „To są momenta, co się pamięta"; w utworze M. Bałuckiego, St. Różewicza, St. Grochowiaka i S. Mrożka; w adaptowanym dla potrzeb sceny „Popiele i diamencie" J. Andrzejewskiego, „Linii" J. Warzaka i „Kubusiu Fataliście" Diderota. Gdyby chcieć odnaleźć ślad tych wysiłków we fragmentach recenzji, wywiadów i szkiców o aktorach, powstałby zapewne obraz niepełny i nieprawdziwy, ale taki jednak pozostanie dla historyków teatru. Dla nas może być jeszcze wzbogacony obrazami zachowanymi w naszej pamięci.

DWIE KREACJE

Jedną z pierwszych premier ubiegłego roku była **„Matka Courage"** z niezapomnianą rolą **Jadwigi Andrzejewskiej** w tytułowej postaci. Ta znakomita aktorka, uznana w roku 1973 przez czytelników „Odgłosów" za **Łodziankę 1973**, za kreację w dramacie B. Brechta została wyróżniona w roku 1974 **„Srebrnym Pierścieniem"**. Recenzent **„Expressu Wieczornego"** nazwał ją **„małą markietanką, która pomnożyła galerię polskich Matek Kuraż"**, a **August Grodzicki** na łamach **„Życia Warszawy"** z okazji „Panoramy 30-lecia" podnosił walory stylu jej gry.

Nikt jednak nie podjął się dokładniejszego opisania tych elementów gry aktorskiej Andrzejewskiej, które odróżniły ją od jej wielkich poprzedniczek: Ireny Eichlerówny, Heleny Weigel, Lidii Zamkow. Należałoby wówczas opisać **„ciepło", „wyrozumiałość", „matczyność"**, tę jednoznaczność w odczytaniu postaci, której śladów nie znajdziemy nawet u samego autora.

W **Teatrze Powszechnym** sukces odniosła również najmłodsza z zespołu aktorskiego — **Małgorzata Rogacka**. Była ona odtwórczynią roli Abbie, w jakby dla niej napisanym **„Pożądaniu w cieniu wiązów"**. Partnerowała znakomitemu w roli męża — **Ryszardowi Sobolewskiemu**, zawdzięczając swój udany debiut nie tylko właściwej obsadzie, trafnej reżyserii, ale i — jak zanotował **M. Misiorny** w **„Trybunie Ludu"** — rzeczywistemu talentowi dramatycznemu.

MŁODZI I TRUDNY ZAWÓD

W ubiegłym roku **Teatr Powszechny** miał dziesięć premier, **Teatr im. Jaracza** — jedenaście, **Teatr Nowy** — dziewięć i **Teatr Ziemi Łódzkiej** — sześć. Przy okazji ich omawiania recenzenci podnosili zasługi pojedyńczych osób, oceniali wysiłek zbiorowy. I tak, według recenzenta **„Głosu Robotniczego"**, spektakl **„To są momenta, co się pamięta" — pod względem aktorskim zasługiwał na pochwałę"**, natomiast w **„Marii" I. Babla, „Jak obrabować bank" S. Fayoda, „Szachach" St. Grochowiaka: „od aktorów wymagałoby się jeszcze innych płaszczyzn gry"** (J. Katarasiński w „Dzienniku Łódzkim").

Nie ma w tym nic dziwnego, bo jak pisał przed trzydziestu laty **Stefan Jaracz** w **„Testamencie artystycznym"**, dla każdego aktora twórczego droga dojrzałość jest coraz bardziej bolesną męką. Albo — jak to słusznie powiedział Tairow — **„Jeśli mnie się ktoś spyta, jaka sztuka jest najłatwiejsza, odpowiem aktorska, ale jeśli mnie się ktoś spyta, jaka jest najtrudniejsza, odpowiem: aktorska"**.

Mimo tych przestróg i różnych uwag krytycznych coraz to nowi adepci szkół aktorskich próbują swoich sił w tym wyjątkowym zawodzie. W Łodzi, na 17 osób, które w ostatnim roku ukończyły PWSTTviF, pięcioro pozostało w teatrach miasta. Pozostali podjęli pracę w Kaliszu, Jeleniej Górze, Szczecinie, Warszawie, Gdańsku i Nowej Hucie.

Barbara Dziekan, Krzysztof Janczar, Leon Chorewicz i Wiesław Wieremiejczyk losy swoje związali z **Teatrem Nowym.** Niektórych z nich widzieliśmy już na scenie i mogliśmy stwierdzić, choćby po premierze **„Wesela Figara"**, że **Barbara Dziekan** stworzyła w roli Zuzanny wyróżniającą się postać. Nie było to łatwe, tym bardziej, że w przedstawieniu określanym jako „aktorskie", brali udział: **Mirosława Marcheluk, Piotr Krukowski, Zygmunt Malawski, Ludwik Benoit.**

W tym teatrze za zbiorowy sukces zespołu aktorskiego uznane były i inne przedstawienia: **„Ciężkie czasy" M. Bałuckiego, „Proces o Andersonville", „Kubuś Fatalista". „Ciężkie czasy"** w reżyseri **Wojciech Pilarskiego** ocenione zostało przez łódzką krytykę jako: **„przedstawienie na piątkę z plusem", „koncert gry aktorskiej"**, gdzie **„wszystkie role znakomite"**, co dobrze udokumentował między innymi **Piotr Słowikowski w „Odgłosach"** z 17. 10. 1974 r. **„Kubuś Fatalista"** Diderota, w adaptacji i reżyserii **Witolda Zatorskiego**, został laureatem Łódzkiej Wiosny Artystycznej. **„Srebrna Łódka"** przyznana zespołowi Teatru Nowego za to przedstawienie, potwierdziła tylko entuzjastyczne przyjęcie go przez publiczność łódzką i warszawską podczas „Panoramy 30-lecia".

Andrzej Hausbrandt pisał z tej okazji o Teatrze Nowym:

„Mały, lecz niezwykle sprawny zespół, zespół realizatorów przedstawienia należy pochwalić nie tylko za wyrównany poziom, ale w pierwszym rzędzie za znakomite wręcz opanowanie zadań ruchowych. Bajeczna kondycja".

Tytułową rolę w **„Kubusiu Fataliście"** grał „pierwszy aktor Łodzi 1972" — **Bogusław Sochnacki.** Obok Tadeusza Fijewskiego, Bronisława Pawlika, Wiesława Michnikowskiego — posługując się kryteriami Marii Czanerle („Potomkowie Chaplina", Teatr Nr 10/1972 — należałoby go zaliczyć do **„Chaplonoidalnych"**. Bo to i **„zakłopotanie, rzucająca się w oczy bezradność"**, i jakby z **„onieśmielenia i podziwu dla świata, który przerósł ich wyobrażenia, ich umiejętności pojmowania"**, i **„taki jakby zbłąkany, jakby stracił orientację"**.

Dziw, że do tej pory jeden z najznakomitszych aktorów polskiej sceny nie doczekał się jeszcze osobnego omówienia jego gry i talentu. Jest to dziwne tym bardziej, że zwolenników jego aktorstwa zachwyca wyjątkowa umiejętność znajdowania granicy między tym, czym jest jako człowiek (ze swoją aparycją, obyczajami, dosłownością), a tym, kim staje się, kiedy gra. Ta właśnie umiejętność czyni go niepowtarzalnym.

Ale i o innych aktorach, jak: **Zofia Grążiewicz, Hanna Bedryńska, Ewa Zdzieszyńska, Mirosława Marcheluk, Wojciech Pilarski, Ludwik Benoit, Władysław Dewoyno, Zbigniew Józefowicz, Andrzej May, Ryszard Dembiński, Ryszard Stogowski, Jan Zdrojewski, Józef Zbiróg, Dobrosław Mater, Zygmunt Malawski** — można by powiedzieć, że często **„przekraczają próg konwencjonalnej poprawności"** (A. Kuligowska o A. Mayu).

NIEPOKOJE

Cóż jednak wiemy o rozterkach, marzeniach i myślach aktorów? Czasem dowiadujemy się czegoś z prasowego wywiadu. W większości jednak skazani jesteśmy na wyczytywanie niepokojów i problemów z ich gry scenicznej. Czasem jakąś ogólniejszą myślą podzieli się reżyser. Na przykład z rozmowy przeprowadzonej z dyrektorem Teatru im. Jaracza przez **„Głos Robotniczy"** dowiedzieliśmy się, że: **„niedosyt, brak społecznego zapotrzebowania w tym najwyższym i najlepszym sensie rodzi niepokoje nie tylko a k t o r ó w, ale i dyrektorów"**.

Obserwując pracę całego łódzkiego środowiska teatralnego można stwierdzić, że wysiłki idące w kierunku pokonania tych niepokojów są widoczne nie tylko w ilości widzów na widowni, ale i w temperaturze towarzyszącej kolejnym przedsięwzięciom.

I właśnie dlatego nie wystarcza już stwierdzenie, że **Ewa Mirowska „z typową energią, pozwalającą na zastosowanie wielu środków aktorskiej sztuki potraktowała rolę starej kobiety"** w dramacie St. Różewicza, a **„aktorski zespół męski partneruje jej z równym powodzeniem, szczególnie St. Kwaśniak, jako lekarz w części I, w części II jako gięda, mężczyzna zdolny już tylko do..."** jak to zrobił **Piotr Słowikowski w „Odgłosach"** z 6.6.74 r. Również niewystarczające jest już dostrzeganie tylko osiągnięć sztuki aktorskiej **Jerzego Przybylskiego**, który potwierdził się w kolejnych premierach jako ojciec Laurenty w **„Romeo i Julii"**, czy wuj Eugeniusz w **„Tangu"**, gdyż to, że recenzenci mogą używać sformułowania: **„przedstawienie grane było ładnie we wszystkich planach, od ról drobnych po wiodące"** (J. Panasewicz „Express Ilustrowany", 17.8.74), Teatr im. Jaracza zawdzięcza także: **Krystynie Marzec, Janinie Sokołowskiej, Krystynie Tesarz, Włodzimierzowi Skoczylasowi, Janowi Tesarzowi, I. Kaskiewiczowi, K. Różyckiemu, M. Leszczyńskiemu i A. Herderowi.**

POWIĄZANIA

Naszkicowany tu pobieżnie wachlarz możliwości aktorskich opierający się z jednej strony o zróżnicowany repertuar (klasyka, utwory pisarzy współczesnych polskich i zagranicznych), z drugiej strony o doświadczone kierownictwa zespołów — nie może być prezentowany bez szerszego kontekstu rozmaitych prądów obcych, które na teatr wywierają swój wpływ. Jedność mająca zaistnieć między widzem i aktorem w czasie aktu twórczego wymaga ciągle nowych uściśleń. To ona bowiem narzuca współczesne rozumienie, czym jest **„gra"**, jaki aktor jest **„dobrym aktorem"**. Tu — gdzie rzeczywistość **„gry"** już dawno została podważona na korzyść rzeczywistości **„bycia"**, gdzie okres **„nowego teatru"** wykazał liczne związki z poezją beat, z happeningiem i z nową muzyką, gdzie teoria „environmental theatre" Schechnera spotkała się z powolnie poruszanymi, milczącymi, wielkimi marionetami Schumanna — trudno odwoływać się ciągle do historii teatru i związanych z nią kryteriów **„gry"** aktorskiej.

Anachroniczne bowiem wydawać się musi traktowanie **„gry"** jako działania na zewnątrz, w którym aktor utwierdza widza w przyjmowaniu życia jako **„gry"**. Uświęca bowiem w ten sposób tylko dwulicowość, wypiera się swego autentycznego **„ja"** na rzecz okazjonalnie granych **„ról"**. Taka gra staje się stopniowo wartością samą w sobie, może nawet doskonalić się, konwencjonalizować, ale w oderwaniu od widza stawia go ciągle w roli obserwatora, a nie uczestnika.

Współczesny widz pragnie odrzucenia **„gry"** zarówno w życiu jak i na scenie, pragnie odnaleźć w teatrze drugiego człowieka, z którym razem wskaże fałsz i absuradalność nieustannego tańca masek, wskaże fałsz i absurdalność przejmowania na siebie coraz to nowych ról.

FILM

ROSYJSKA ROMANCA

W zestawie filmów proponowanych naszej publiczności z okazji Dni Kultury Radzieckiej znajduje się „ROMANCA O ZAKOCHANYCH" Andrzeja Michałkowa-Konczałowskiego, film, który uczestnicy Konfrontacji widzieli już wcześniej, gdyż reprezentował on główną nagrodę festiwalu filmowego w Karłowych Varach.

Andrzej Michałkow-Konczałowski, reżyser takich m.in. filmów, jak „Pierwszy nauczyciel", „Szlacheckie gniazdo" i „Wujaszek Wania" należy niewątpliwie do najciekawszych twórców współczesnego kina radzieckiego. Rysem szczególnym jego twórczości jest wyraziste zaplecze rosyjskiej tradycji literackiej i kulturowej. „Romanca o zakochanych" będzie więc dla wszystkich, bliżej znających filmy Konczałowskiego swoistym zaskoczeniem. Tym bowiem razem ten bardzo rosyjski reżyser podjął się próby skojarzenia tego, co bardzo narodowe w treści i sposobie kreacji bohatera z tym, co wyrażone poprzez stylistykę filmu — obce. „Romanca o zakochanych" jest w mym odczuciu próbą zmierzenia się Konczałowskiego z pewnymi konwencjami kina zachodniego. Konstatacja ta brzmi może fałszywie, gdyż fałsz niejaki tkwi już w samym tego typu rozróżnieniu.

Jednakże dla nikogo nie jest tajemnicą, iż kino radzieckie, w przeciwieństwie na przykład do prób podejmowanych na terenie naszej kinematografii, nie wchłania na fali mody pewnych uchwytnych przecież tendencji formalnych filmu zachodniego. Pewne objawienia, również w zakresie poszukiwań formalnych, jakie przyniosły na przykład poszczególne kinematografie narodowe Kraju Rad, wyrastały z gleby zupełnie innej. Piękno i wartość takich z kolei filmów, jeśli wspomnimy tylko z ostatnich lat „Początek" Panfiłowa, „Monolog" Awerbacha czy „Czerwoną kalinę" Szukszyna, określają nie tyle rewolucyjne poszukiwania formalne, co walor intelektualny i moralny tych utworów.

Toteż „Romanca o zakochanych" Michałkowa-Konczałowskiego jest na pewno na gruncie radzieckiej kinematografii swoistym ewenementem, który wywołać może różne nań reakcje. Nie trudno nawet przewidzieć zarzuty, z którymi film ten może się spotkać. Miłośnicy kina wytkną, na przykład Konczałowskiemu uderzającą inspirację głośnym przed laty filmem „West Side Story". Miłośnicy melodyki pieśni i piosenki rosyjskiej usłyszą w świetnej zresztą muzyce Aleksandra Gradskiego pogłosy bitowych tendencji — w tym jednak przypadku nie wiem, czy wszyscy uczynią z tego zarzut.

„Inność" „Romancy o zakochanych" tkwi przede wszystkim w, z powodzeniem przez Konczałowskiego poprowadzonej, narracji — dynamicznej, pełnej niepokojącego rytmu, nie dookreślonej w pewnych wątkach. W opowiadaniu bardzo sprawnie łączącym sekwencje zrealizowane w paradokumentalnej konwencji z sekwencjami czystej liryki filmowej, sytuacje nasycone rodzajowością obyczajową ze scenami, w których muzyka i tekst poetycki pełniąc funkcję komentarza zdarzeń i stanów psychicznych bohaterów, stają się jednocześnie autonomicznymi cząstkami tego bardzo różnorodnego, a jednak spójnego w swej stylistyce filmu. Jedno jest jednak pewne. „Romancy" nie można odbierać w kategoriach realizmu i prawdopodobieństwa, świat tego filmu rządzi się swoją własną logiką poetyckości. Jej filtr pozwala łączyć w jedno wszystko, co w filmie tym dzieje się, co dotyczy historii pewnej miłości i dojrzewania do dorosłego życia jej bohaterów.

Historia Tani i Siergieja prowadzi nas przez wszystkie etapy miłości i dorastania, którego finałem jest dojrzała autoświadomość własnego życia. To, co w tej opowieści najpiękniejsze, dotyczy umiejętności wydobycia atmosfery absolutnego zapamiętania w tym młodzieńczym kochaniu. Miłość, radość, cierpienie, rozpacz, zazdrość, walka o odzyskanie miłości, wreszcie rezygnacja i odnalezienie się w miłości nowej, innej, spokojnej, odpowiedzialnej — wszystko to w „Romancy" znajduje swe ujawnienia w scenach symbolicznych, których temperatura emocjonalna nie zna ograniczeń.

Radość miłości i patos cierpienia, symbolika zachowań i symbolika słów byłaby może nieznośna, gdyby nie poetycka aura tego filmu. Andrzej Michałkow-Konczałowski wydobył i wykorzystał wszystkie cechy gatunku, który już w tradycji literackiej nazwano romancą. Dał jego filmową propozycję dojrzałą w pomyśle i realizacji. By dojrzałość tę uzyskać, musiał szukać właśnie owych, wspomnianych już, nowych środków artystycznego wyrazu, może nawet dalekich tradycjom radzieckiego kina. Wszystko, ku czemu one się jednak odnoszą, jest bardzo rosyjskie, nasycone rosyjskimi realiami obyczajowymi i charakterologicznymi, nasycone liryzmem obrazów, muzyki i słowa poetyckiego, których rodowód jest jeden, niepowtarzalny w swym klimacie i tonacji.

EWA NURCZYŃSKA

LITERATURA

JERZY S. FELIKSIAK

NAD WISŁĄ

Pod niebem śródziemnomorskim zachował się blask panteonów
i droga do nowych cyrków wiedzie pod łukami cesarzy.
W pobliżu starych bazylik ciemnieją potężne hangary,
a na wybrzeżach sezony układają się lazurowo.

Nad Wisłą śniedzieje Wawel i z bruku dźwignięta Kolumna
i noce są narodowe z mocnym zapachem browaru.
Tu każdy znajdzie dla siebie snop reumatyzmu i barłóg;
w poezji — piach mazowiecki,
w capstrzykach — echo spod Kutna.

Tu ranna zorza łaskawa dla osmolonej powały.
Na drogach konie nam kurzą plewami dawnej brawury.
I choć w sezamach, prócz legend, zostało trochę jaszczurek,
po burzy chłop patrzy w tęczę jak cesarz na łuk triumfalny.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

* * *

Miła przyjaciółko,
czy słów trzeba,
jeśli wspólnie brniemy
w Tajemnicę?

Zabiją słowa,
odbiorą jej moc
i — miast odwrotnie —
nieustanną śmiercią
zaistniać się będzie życie.

* * *

Wielolistnie żarzą się zmysły.
Sam, aż skowyczą myśli.

Wychodzę ochłonąć,
a w ogrodzie róże płoną.

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

* * *

Przeżywamy się w pustych pokojach
Wśród luster zmarszczek i belacornów
Zobaczycie Przeżyję się kiedyś do cna

Z satysfakcją zawiadamiam was
Że przeżyłam biurko miłość wstrząs
Teraz właśnie przeżywam młodość

Przyjedź wreszcie napisałam do kochanka
Tu przeżyłam dobry okres twórczości
I jestem nieśmiertelna Sprawdziłam to dokładnie

W 1972 r. sfotografowana na plaży w Ustroniu Morskim
A powielona w stu tysiącach egzemplarzy popularnego tygodnika
Właśnie przeżyłam różowy kostium kąpielowy

Z rozpaczą zawiadamiam was
Wracam z domu żałoby
I Myślałam, że jej nie przeżyję
Bardzo ciężko przeżyłam śmierć

Siedzę teraz w pustym pokoju
I przeżywam młodość
Ach powiedzcie mi nareszcie
Czy coś mnie zechce przeżyć

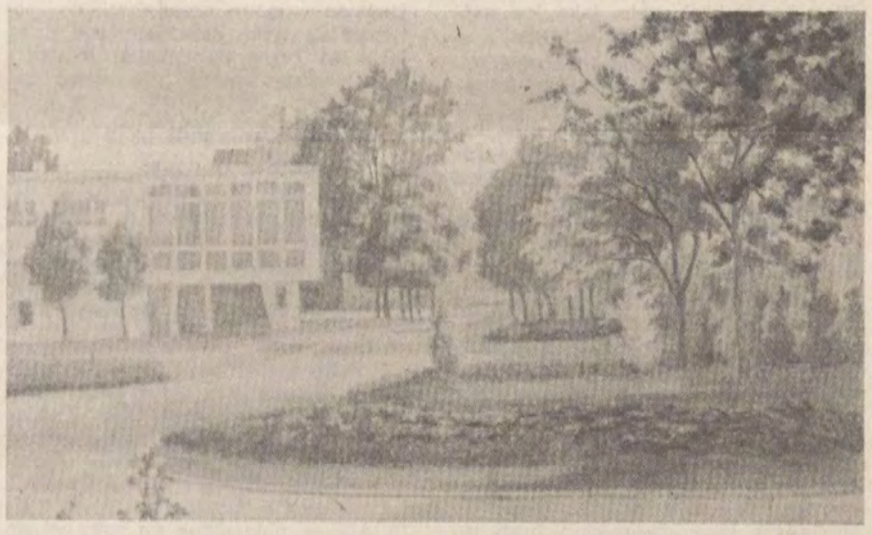

TERESA GABRYSIEWICZ-KRZYSZTOFIKOWA

KOLEKCJONERZY

Krzesali serce
do iskry ostatniej
fałszywi Prometeusze
jakże teraz zapłonie
Łez do dna naczerpali
do dna suchego
kolekcjonerzy chciwi
już nie zapłaczę
Dotyk z rąk wyłuskali
puste skorupy
hobbyści
nie utulić mi już
cudzego cierpienia
Nawet uśmiechu resztkę
wiśnie dostałe
z zapomnianej gałęzi
strząsnęli
cóż uczynię
jak napotkam Dziecko

EWA BEATA KARPINOWICZ

* * *

razisz przypadkowością
powiedziała matka i popatrzyła na babkę
(babka nic nie powiedziała
bo umarła)

rażę pokoleniem
powiedziałam i popatrzyłam na babkę
(babka pokiwała głową)

a ja myślałam
że babka wszystko już powiedziała

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

KONSPIRACYJNE SPOTKANIA AUTORSKIE

Spotkanie z Andrzejewskim miało miejsce na Złotej. Sporo osób, mieszczańskie kanapki i zmobilizowane, skąd się dało, krzesła. Odczytał dwa rozdziały z zarzuconej później powieści **„Natchnienie świata"**. Tytuł wzięty był z wypowiedzi Roosevelta wychwalającego postawę młodzieży Polski walczącej. Tematem i zamierzoną ascetycznością stylu przypominała (skojarzenie, naturalnie, późniejsze) wydane niebawem **„Kamienie na szaniec"** Góreckiego-Kamieńskiego. „Odkrycie" to nie ma naturalnie nic wspólnego z dociekaniami wpływologicznymi: taki był czas i taka służba narodowa prozy na czasie. Andrzejewski czytał te fragmenty na wielu spotkaniach autorskich, także i w roku następnym. Pewna kameralność tego spotkania zachęciła mnie do udziału w dyskusji, a fakt, że moje krzesło sąsiadowało z fotelem prelegenta, sprawił, że mój „głos" przekształcił się w rodzaj rozmowy z Andrzejewskim (rozmowy — żeby nie krzywdzić siebie po latach — młodego ciekawskiego polonisty z głośnym pisarzem, nie zaś popisem grandelokwencji w stylu dzisiejszym Małachowskiego). Chodziło mi bodaj o pogranicze autentyzmu i fikcji w **„Ładzie serca"**. W ten dialog wmieszał się przystojny chłopiec o wysokim czole i prześlicznych brwiach, z którym wdałem się natychmiast w akademicki spór zostawiając prelegenta na uboczu. Obok siedziała dziewczyna. Ani ładna ani brzydka ale chyba miła. W pewnym momencie Bożena Głowacka oparta o tamtą, jak to „baby", przedstawiła nas sobie. Baczyńscy! Wykrzyknik jest dzisiejszy. Znałem niewiele jego wierszy, zachwyty Bożeny (znała ich dużo więcej, dzięki Baczyńskiej, która „publikowała" je na komplecie metodą: podaj dalej) wydały mi się przesadzone. O ile na spotkanie — posłuchanie do Gajcego szedłem zapewne z tremą, w tym wypadku — ot, poznałem „tego cenionego poetę". Wynikało to może nie tylko z niedostatków lektury: Gajcy miał zagrania i sposób bycia cesarza poetów, Baczyński był naturalny, a poza tym chodził na polonistykę o rok niżej, co dla mnie, snobizującego się przede wszystkim na studia, odgrywało wcale istotną rolę w naszych „hierarchiach".

Głosy wyczerpały się niebawem, prowadząca zebranie nie znana dziewczyna zapowiedziała, że następne z tej serii poświęcone zostaną wysłuchaniu wierszy Tadeusza Rokitniaka (moich) i Stanisława Ziembickiego (pseudonimu nie pamiętam) w niedzielę, przy ulicy Miłobędzkiej 8. We własnym imieniu już zaprosiłem nowo poznanych: oboje Baczyńskich (żartobliwie eleganckie skinienie głowy i miły uśmiech) i Andrzejewskiego (brak skinięcia).

Domek przy Miłobędzkiej na końcu Mokotowa był niejako warszawską ambasadą naszego tajnego Koła Akademickiego w Mińsku. Mieszkała tam z matką (ojciec był w obozie jenieckim) półmieszczanka Dzidka Kozakiewiczówna, członkini Koła, przedtem „wicekrólowa Bazaliatu" (grupka cyganeryjna z pocieszym ceremoniałem — taki młodzieńczy wygłup — ratunek przed depresją w pierwszym okresie wojny — która przekształciła się z czasem w nasze Koło). W ostatniej chwili, żeby poczuć się raźniej, zaproponowałem w porozumieniu z kimś tam, współudział Ziembickiemu. Na własną rękę zaprosiłem prof. Sergiusza Kułakowskiego, ex-futurystę Stefana Gackiego, Alicję Iwańską, a obcej młodzieży Elę Fonberżankę (debiutowała tuż przed wojną jako poetka w IKC, wówczas studiowała medycynę — głośny dziś naukowiec).

Poszedł „cynk" do Koła, którym mimo ukrywania się nadal zdalnie kierowałem, i do domu. W niedzielę rano pomaszerowaliśmy z Ziembickim na Mokotów. Od kościoła Jezuitów zaczynała się w prawo wielka, goła przestrzeń. Przystanęliśmy, żeby popatrzeć, czy się coś nie dzieje. Nic się nie działo, tylko chodnikiem ciągnęli w należytych odstępach, po dwie, trzy osoby — nasi słuchacze.

Przyszło ze czterdzieści osób, czyli więcej niż dziś na rozreklamowane spotkanie autorskie uznanego pisarza w łódzkim „Empiku". Mimo energii Dzidki (nawet nobilitowała paki od węgla na kanapę) część stało. Występowaliśmy z Ziembickim grubo ponad godzinę. Wojtek Mencel i Dzidka od czasu do czasu chichotali po cichu do siebie, ale wierzę, że nie z nas. Stroiński w krótkim spiczu ganił nas i chwalił, ideowo i artystycznie. Kułakowski — wdzięczny za stworzenie mu kompletu, oryginał i Cygan, mówiący wolapikiem, wywiódł rodowód poetycki nas obu w prostej linii od... Andreja Biełogo i stwierdził, że ten, kto „nie rozumiał byłby, że wiersze są jenijalne, byłby był ydyłota". Dostałem kwiaty od kompletu, od Koła, z domu, z własnego ogródka (wraz z paczką, w której znalazłem nowy krawat i tak mi potrzebne na „emigracji" „niewymowne"), od Wojtka Mencla białą różę. Można było zgłupieć od nadmiaru szczęścia! Toteż pozapominałem mnóstwo innych rzeczywiście ważnych dla podziemia literackiego spotkań, rozmów, dyskusji, mini-spektakli teatralnych, a spotkanie na Miłobędzkiej pamiętam jak dziś.

Kiedy następnym razem zjechałem z Otwocka na zajęcia na Czerwonokrzyską, zaskoczył mnie grobowy nastrój. Wiadomości były przerażające. Coś się tam zdarzyło pod pomnikiem Kopernika. Jakaś akcja, walka. Gajcy ranny i nie wiadomo, co się z nim dzieje, Stroiński i Bojarski (stan bardzo ciężki) w rękach gestapo. Gajcy wkrótce się znalazł. O Stroińskim cisza, wieści o Bojarskim były coraz gorsze. Potem pokazano mi jego wiersz. Pisany podobno przed agonią i nie dokończony. Ranny straszliwą różą żegnał w nim świat, kraj walczący, kolegów i powiadamiał, że — Bóg go powołuje „do Swego Imperium".

(Fragment większej całości)

U PRZYJACIÓŁ

Związek Radziecki jest największym potentatem w ruchu wydawniczym na świecie. W kraju tym ukazuje się czwarta część wszystkich tytułów książek, które pojawiają się na rynku księgarskim. W minionym półwieczu wydano w ZSRR ponad 40 miliardów egzemplarzy książek i broszur. Plonem rocznej pracy przeszło 200 radzieckich wydawnictw i prawie 4 tysięcy zakładów poligraficznych jest półtora miliarda tomów drukowanych w 89 językach narodów Kraju Rad oraz w 56 językach obcych. Oblicza się, iż za władzy radzieckiej nakłady książek wydawanych w językach narodów ZSRR wzrosły 53-krotnie.

Cechą charakterystyczną radzieckich wydawnictw jest wysoki nakład pierwszych wydań — stanowią one 90 procent ogólnej liczby produkcji książkowej. Znaczną, bo aż czwartą część publikowanych książek i broszur stanowią wydawnictwa o tematyce społeczno-politycznej i ekonomicznej. Prace z zakresu przemysłu i techniki obejmują w ZSRR przeszło trzecią część rocznej liczby pozycji książkowych.

Literatura piękna stanowi trzecią część łącznej produkcji wydawniczej. Ogólny nakład beletrystyki osiągnął wysokość 9 miliardów egzemplarzy, a nakład jednej książki ma przeciętnie wysokość 60 tysięcy egzemplarzy.

Dużą popularność zyskały u radzieckich czytelników serie wydawnicze obejmujące radziecką i obcą literaturę dawną i współczesną. Wydano między innymi 200-tomowy cykl „Biblioteka Literatury Światowej", „Powieść zagraniczna XX wieku", „Fantastyka zagraniczna", „Mistrzowie współczesnej prozy", „Młodzi poeci świata" i „Skarbnica poezji lirycznej".

Według danych UNESCO Związek Radziecki zajmuje pierwsze miejsce w świecie pod względem liczby tłumaczeń. W roku ubiegłym ukazało się w ZSRR ponad 1000 przekładów światowej literatury pięknej w łącznym nakładzie ok. 50 milionów egzemplarzy.

* * *

Rok ubiegły był dla „Mosfilmu" rokiem jubileuszowym. Największa wytwórnia ZSRR obchodziła swoje 50-lecie. Jej zespół pracował — jak zawsze — nad realizacją filmów podejmujących w różnorodnej formie, różnorodną tematykę, przede wszystkim — nad pozycjami o współczesnym życiu ludzi radzieckich.

Do filmów nakręconych w roku ubiegłym w wytwórni moskiewskiej, które zyskały największy rezonans społeczny należy „Romanca o zakochanych" reżysera A. Michałkowa-Konczałowskiego. „Najgorętszy miesiąc" J. Karasika, „Miłość ziemska" J. Matwiejewa, „Takie wysokie góry" J. Solncewej oraz „Automobil, skrzypce i pies" R. Bykowa...

W związku z 30 rocznicą zwycięstwa nad faszyzmem przygotowano szereg nowych filmów. Latem ubiegłego roku nad Donem, w miejscach upamiętnionych walkami z najeźdźcą hitlerowskim, reżyser S. Bondarczuk i operator Jusow pracowali nad filmem opartym na powieści wybitnego radzieckiego pisarza Michała Szołochowa „Oni walczyli za ojczyznę". Zwycięstwu narodu radzieckiego w Wojnie Ojczyźnianej poświęcono również film „Front bez flanków" reżyserii I. Gostiewa, ukazujący okres szczególnie ciężki, pierwsze miesiące wojny, kiedy zaskoczona Armia Radziecka prowadziła ciężkie boje przeciwko hitlerowskiej machinie wojennej. Reżyser J. Czulukin w filmie „Żołnierz ojczyzny" wskrzesza bohaterskie dzieje wielkiego radzieckiego patrioty generała D. Karbyszewa.

Z okazji wielkiego jubileuszu — stwierdza N. Sizow, generalny dyrektor „Mosfilmu", przygotowaliśmy kilka dzieł wspólnie z filmowcami z krajów socjalistycznych. Należy do nich film S. Kołosowa „Zapamiętaj imię swoje", który powstał we współpracy z filmowcami polskimi, film „Sokołowo" — o sojuszu bojowym żołnierzy radzieckich i czechosłowackich, a także film „Jedyna droga" nakręcony przez jugosłowiańskiego reżysera V. Pavlovicia, o wspólnej walce z hitlerowcami jugosłowiańskich partyzantów i radzieckich żołnierzy.

W 1975 roku „Mosfilm" przekaże kinom około 40 pełnometrażowych filmów fabularnych i 10 pozycji przeznaczonych dla Telewizji Radzieckiej.

☆ ☆ ☆

W Związku Radzieckim działa obecnie 40 wytwórni filmowych, ok. 155 tysięcy kin i innych miejsc stałych projekcji filmów, siedem wytwórni kopii filmowych. Ten olbrzymi przemysł kinematograficzny ma też bogato rozbudowane zaplecze techniczne i naukowo-badawcze. W dalszym ciągu przeznacza się duże nakłady na modernizację i rozwój kinematografii. W bieżącej pięciolatce wybudowano w ZSRR ponad 1400 nowocześnie wyposażonych kin, które mogą pomieścić jednocześnie z górą 600 tysięcy widzów.

W Kijowie dobiega końca budowa największego w kraju studia dźwiękowego, w Odessie oddano do użytku nowe skrzydło w miejscowej wytwórni filmowej, wyposażone w najnowocześniejszą aparaturę dźwiękową. W Jałcie powstaje wielki kompleks filmowy, który będzie głównym ośrodkiem kinematografii na południu ZSRR, wkrótce rozpocznie się przebudowa i modernizacja najstarszej wytwórni filmowej w ZSRR „Mosfilmu".

ARABIA SAUDYJSKA

PO ŚMIERCI KRÓLA FAJSALA

Arabia Saudyjska jest jedynym krajem na świecie, w którym chorągiew państwowa pozostaje na szczycie masztu nawet wtedy, kiedy umiera głowa państwa. Toteż podczas pogrzebu króla Fajsala flaga w Rijadzie nie była opuszczona na znak żałoby. Uroczystości pogrzebowe zamordowanego króla odbyły się w atmosferze surowej prostoty.

W meczecie byli obecni: prezydent Sadat, król Husajn, prezydent Bumedien, prezydent Burgiba, sułtan Kabbus, gen. Nimeiri, premier Bhutto i gen. Idi Amin. Na cmentarzu byli już obecni tylko książęta krwi. Zwłoki króla pochowano na cmentarzu w miejscu, gdzie od 1953 roku spoczywają prochy jego ojca, króla Adbel Aziz ibn Sauda.

Król Fajsal był człowiekiem wywierającym znaczne wpływy daleko poza granicami Arabii Saudyjskiej. Zawsze wolał więcej słuchać niż mówić. Był żołnierzem, dowódcą, wicekrólem, ministrem, następcą tronu i premierem nim 2 listopada 1964 roku zasiadł na tronie królewskim. Długa praktyka w niezliczonej ilości przeróżnych zakulisowych operacji, najpierw na dworze królewskim, a później na arenie działalności rządowej, liczne podróże zagraniczne ukształtowały go na finezyjnego dyplomatę i elastycznego działacza politycznego. Umiejętnie przeciągał na swoją stronę jednocześnie i plemiona, i działaczy religijnych, i burżuazję. Jednym obiecywał hojne sybsydia, innym — surowe ustawy religijne, a tych, którzy marzyli o nowoczesnym państwie, umiał przyciągnąć mglistymi obietnicami wprowadzenia konstytucyjnego systemu rządów. Umarł nie pozostawiając po sobie nowych fundamentalnych ustaw, niemniej zreorganizował niektóre najbardziej ważne sektory aparatu państwowego, wprowadził budżet roczny, a dzięki naftowej „mannie" przyczynił się do szybkiego wzbogacenia niektórych grup społecznych.

Fajsal umiał przymykać oczy na korupcję, łapownictwo, które kwitły w środowiskach wielkiej burżuazji, wśród urzędników, a nawet w rodzinie królewskiej. Zakaz używania napojów alkoholowych pod karą więzienia nie obowiązywał jednak mieszkańców bajecznych pałaców, rezydencji w Er-Rijad i w Dżiddzie, portowym mieście nad Morzem Czerwonym, gdzie podczas wcale nierzadkich orgii szerokim strumieniem lały się szampan i whisky.

Fajsal doskonale zdawał sobie sprawę z chwiejności równowagi, którą udawało mu się utrzymywać między zwolennikami archaicznego systemu rządzenia, a zwolennikami metod „otwartych dla współczesnego świata". Opierał się na trzech filarach: policji, regularnych oddziałach wojska i „białej armii" — to jest całkowicie oddanych mu wodzach plemiennych. Jego znana z okrucieństwa służba bezpieczeństwa została stworzona przy pomocy amerykańskich doradców. Wielu ludzi mówi — pisze m. in. korespondent „Le Monde" — że właśnie dzięki CIA udało mu się w 1968 roku zdławić w zarodku spisek przygotowywany w wojsku.

„W Koranie nie ma nic takiego, co zabraniałoby rozwijać kraj" — lubił mawiać król. Fajsal zreorganizował aparat administracyjny w prowincjach, za jego czasów zaczęły się rozwijać prasa, radio i telewizja, co prawda bardzo ściśle kontrolowane. Pozostawiał on także dużo swobody Radzie Ministrów, popierał realizację różnych projektów rozwoju przemysłu i gospodarki rolnej i, przynajmniej oficjalnie, zniósł niewolnictwo. Tylko nigdy jakoś nie mówił o liberalizacji reżimu. Świadczy o tym kilka bezlitośnie stłumionych spisków organizowanych przez postępowych oficerów i nacjonalistów, oskarżających Fajsala o ślepe posłuszeństwo wobec Waszyngtonu. Oskarżano go także, że nie użył całej potęgi broni naftowej przeciwko Izraelowi.

Bogactwa Arabii Saudyjskiej można określić trzema liczbami: 417 milionów ton nafty wydobytej w 1974 roku, co stawia ją na trzecim miejscu w świecie, po Związku Radzieckim i USA, pod względem wydobycia paliwa płynnego; 20 miliardów ton posiadanych zasobów naturalnych „płynnego złota", co stanowi 20 proc światowych zasobów ropy naftowej; 30 miliardów dolarów „czystego" zysku od sprzedaży nafty saudyjskiej w 1974 roku. Cała wewnętrzna i zagraniczna polityka króla Fajsala opierała się na tym bajecznym bogactwie. Król Arabii Saudyjskiej był jednym z inicjatorów użycia broni naftowej, by zmusić Izrael do wycofania się z okupowanych terytoriów arabskich. Mimo to Arabii Saudyjskiej nie można zaliczyć do najbardziej konsekwentnych członków OPEC. Zawsze uważała ona siebie za zwolenniczkę polityki umiarkowanej, starając się unikać rozłamu OPEC i zarazem nie wywoływać rozdrażnienia swego amerykańskiego sojusznika. Jak wiadomo — Rijad nie zdecydował się na jednostronne obniżenie ceny na naftę, mimo nacisku Stanów Zjednoczonych. Jednakże, jako największy producent paliwa płynnego, Arabia Saudyjska miała do dyspozycji inne środki, żeby zmusić swoich partnerów z OPEC do spuszczenia z tonu. W 1974 roku zwiększyła ona wydobycie nafty o 13 proc. Te dodatkowe miliony ton rzucone na rynek światowy w momencie, gdy popyt na naftę zmniejszył się wskutek wprowadzenia ostrych reżimów oszczędnościowych, odegrały główną rolę w zamrożeniu cen, dokonanym przez kraje członkowskie OPEC.

W tym samym czasie Fajsal poparł ogólną tendencję do nacjonalizacji bogactw naftowych, której inicjatorami, kilka lat wcześniej, były Algieria i Irak. W czerwcu ub. roku Arabia Saudyjska znacjonalizowała 60 proc. akcji wszechmocnej kompanii naftowej „ARAMCO", która eksploatuje 95 proc. przemysłów naftowych kraju. Obecnie rząd królestwa prowadzi długie i trudne rozmowy z czterema kompaniami wchodzącymi w skład „ARAMCO": „Texaco Incorporation", „Standard Oil of California", „Mobil Oil Corporation" i „Exsson Corporation", w celu wykupienia pozostałych 40 proc. akcji.

Miliardy dolarów nagromadzone przez Arabię Saudyjską pozwalają jej na rozwój przemysłowy kraju. Król Fajsal dawał pierwszeństwo dwóm podstawowym gałęziom przemysłu: petrochemii i metalurgii. Jednakże ograniczone zasoby ludzkie nie pozwalają Arabii Saudyjskiej na pełne wykorzystanie dochodów ze sprzedaży nafty i nadwyżki walutowe odpływają do Stanów Zjednoczonych. Znamienne, iż Arabia Saudyjska, która odmówiła przyjmowania funtów szterlingów za sprzedaną naftę, niedawno nie zgodziła się także na dolarowe zabezpieczenie swojej waluty narodowej.

Po zabójstwie króla Fajsala wielu ludzi zadaje sobie pytania: Jak i dlaczego zastrzelono Fajsala? Co reprezentują sobą nowi władcy Arabii Saudyjskiej? Jaką politykę będą realizować?

Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, to istnieje wersja, podtrzymywana zresztą przez większość obserwatorów arabskich i zgodna zresztą z oficjalnymi wyjaśnieniami władz saudyjskich. 25 marca Fajsal udzielał audiencji. Towarzyszyli mu przedstawiciele rodziny Saudów. Nagle, jak opowiadają świadkowie, młody książę Fajsal ibn Musaid, syn brata króla, dobył rewolweru i wystrzelił z bliska do monarchy. Sprawca został natychmiast ujęty. Jego ojciec, emir Musaid, był niejasną figurą na dworze królewskim i wyróżniał się ponoć ekscentrycznymi wyskokami. W niektórych kołach dyplomatycznych mówi się, że król Fajsal ograniczał nieco apetyty swoich krewnych, co mogło wywołać niepohamowany gniew księcia. Tylko niewielu ludzi uważa, że ręką zabójcy mogły kierować koła dążące do władzy. Niektórzy zachodni obserwatorzy wysunęli, zaraz po zabójstwie króla, paradoksalną hipotezę, że zniknięcie z areny politycznej króla Fajsala nie mogło nie odpowiadać interesom USA. Ale czyż nieżyjący monarcha nie wykazał pełnej lojalności wobec Waszyngtonu, wzywając Amerykanów do obrony przemysłów naftowych? Ale — utrzymują te same koła — nowi władcy Arabii Saudyjskiej są znani z jeszcze większych sympatii proamerykańskich niż ich poprzednik...

Co reprezentują sobą nowi władcy Arabii Saudyjskiej? Uważa się, że król Chaled zadowoli się panowaniem, nie pretendując do rządzenia krajem i, być może, kiedyś w ogóle zejdzie ze sceny politycznej. Jeśli nawet poczuje apetyt do władzy i zechce osobiście rządzić krajem, to czy pozwoli mu na to stan jego zdrowia? Nowy król, urodzony w 1913 roku, był bliski obu swoim braciom — Saudowi i Fajsalowi. Ale nigdy nie zajmował się aktywną działalnością polityczną i zawsze pozostawał w cieniu. Spośród wszystkich synów Abdel Aziza on jeden nie skończył wyższego zakładu naukowego za granicą i całą swoją wiedzę zaczerpnął z Koranu. Podczas gdy książęta „odkrywali" w sobie powołania polityczne i dyplomatyczne, obecnego króla Chaleda interesowała tylko gospodarka rolna. On właśnie opracował projekt nawodnienia pustyni z podziemnych zasobów wodnych, odkrytych przez francuskich geologów. W 1965 roku Fajsal powołał — jeśli można to tak określić — brata na swoją służbę. Chaled został mianowany wiceprezydentem rady królewskiej. Musiał przyjmować wielu ludzi, ale z uporem odmawiał wnikania w subtelności jakiejkolwiek sprawy. Ludzie, którzy z nim wówczas obcowali, odnosili wrażenie, iż Chaled zajmuje to stanowisko tylko dlatego, że „jest synem swojego ojca". Niemniej został wybrany przez swych braci na następcę tronu. Chaled ma tę wyższość od swych braci — nie ma wrogów. Jest jednak słabego zdrowia i niedawno przeszedł atak serca, wymagający chirurgicznej interwencji.

Jeśli chodzi o księcia Fachda, premiera rządu, to twarz jego nie wyraża ani melancholijnego spokoju, który jest głównym rysem twarzy 62-letniego nowego króla, ani bolesnego grymasu nieżyjącego króla Fajsala. Książę Fachd ma opinię człowieka energicznego, przedsiębiorczego i lubiącego władzę. Przypuszcza się ogólnie, iż premier, mniej religijny od Fajsala, przy pomocy swego brata emira Sułtana, postara się, być może, o zmodernizowanie królestwa, kontynuując tym samym proces zapoczątkowany przez Fajsala. Zarówno w zakresie polityki wewnętrznej jak i zagranicznej książę Fachd będzie prawdopodobnie próbował narzucić królowi Chaledowi bardziej wyraźnie zarysowany „fajsalizm".

Takie oto i tym podobne wersje polityczne, krążące dziś w stolicy Arabii Saudyjskiej po dramatycznej śmierci króla Fajsala, zapełniają łamy prasy światowej.

JERZY CZECH

W 16 numerze „Odgłosów" z dnia 17 kwietnia br., z winy korekty, w czołówce na str. 9 wkradł się do tytułu przykry błąd. Powinno być: **„Intertel" oferuje każdą usługę", a nie „Interpol"**... itd. Za błąd przepraszamy Czytelników.

■ NOWA SYTUACJA W INDOCHINACH

■ O NAFCIE, CZY WSZYSTKICH SUROWCACH

Kambodża rozpoczyna nowy rozdział swej historii. W 61 miesięcy po zamachu stanu, w rezultacie którego u władzy znalazł się Lon Nol i jego ekipa, **stolica kraju — Phnom Penh oswobodzona została przez kambodżańskie siły wyzwoleńcze.** Praktycznie oznacza to całkowity upadek reżimu, który zawdzięcza dojście do władzy i pozostawanie u steru państwa przez dobre pięć lat przewrotowi, inspirowanemu przez amerykańską centralę wywiadowczą. Nie pomogły jednak hojnie kierowane do Kambodży dolary. Siły wyzwoleńcze odnosiły wciąż sukcesy, uwieńczone teraz zdobyciem stolicy. **Zatriumfował front jedności narodowej, którego trzonem jest lewicowa organizacja Czerwonych Khmerów.** Nowy rząd, jak już oficjalnie oświadczono, prowadzić będzie politykę neutralności i niezaangażowania. Tytularny szef państwa — książę Sihanouk zapowiedział, że teraz jednym z najważniejszych zadań Kambodży jest „rozwijanie współpracy z innymi krajami".

Przypominając niedawną historię i okoliczności objęcia władzy przez Lon Nola — dziennik brytyjski „Times" pisze:

„Kambodża wciągnięta została w konflikt wietnamski dla powodów, nie mających nic wspólnego z interesem narodowym, a żniwo śmierci i zniszczeń jest rezultatem kalkulacji, które okazały się całkowicie fałszywe".

Te kalkulacje — to zamierzenia Lon Nola, aby przy pomocy amerykańskiej rozbudować armię i użyć jej do zniszczenia Wietnamczyków. **Były to jednak złudzenia tej samej miary, co wówczas Stanów Zjednoczonych, że zdołają problem wietnamski rozstrzygnąć siłą militarną.** Rozwój wydarzeń w Kambodży jest więc jeszcze jedną porażką sztywnej indochińskiej polityki USA.

Jest ona tym dotkliwsza, że **w sąsiadującym z Kambodżą południowym Wietnamie dogorywa również antynarodowy, jak Lon Nola, reżim Thieu.** W dalszym ciągu napływają informacje o zacieśniającej się pętli wokół Sajgonu. Niektóre agencje podały, że w ambasadzie amerykańskiej w Sajgonie rozpoczęto palenie dokumentów. Zdaniem komentatorów najlepszy to sygnał, że „chociaż frontalny atak na miasto jeszcze się nie rozpoczął — jego czas szybko ucieka".

W Indochinach powstaje nowa sytuacja polityczna. Komentując ostatnie wydarzenia dziennik „Prawda" napisał:

„Narody Indochin wykazały niezłomną wolę niepodległości i wolności, przekreślając rachuby imperialistycznych ciemiężców i wewnętrznej reakcji".

Rozwój wydarzeń na Półwyspie Indochińskim jest najbardziej aktualnym potwierdzeniem prawidłowości oceny sytuacji międzynarodowej, jakiej w ub. tygodniu dokonano **na plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego KPZR.** Przyjęta na tym Plenum uchwała podkreśla dalekowzroczność analizy XXIV Zjazdu KPZR oraz wysuniętych wówczas zadań. **Sytuacja światowa ewoluuje w kierunku pokoju i wszelkie próby obliczone na pohamowanie tego procesu i zdyskredytowania polityki pokojowego współistnienia w ostatecznym rachunku nie mogą być owocne.** Kiedy w lutym przyszłego roku zbierze się w Moskwie XXV Zjazd KPZR — łatwo będzie stwierdzić, jak daleko uszliśmy na drodze uzdrowienia stosunków międzynarodowych, jak szeroko zaowocował radziecki program pokoju, sformułowany na poprzednim zjeździe.

W komentarzu tygodnia nie można nie poświęcić nieco miejsca także **przygotowawczym rozmowom do konferencji producentów ropy naftowej z zachodnimi importerami ropy.**

Nie przyniosły one żadnych wyników i jej uczestnicy wyjechali z Paryża bez nadziei na zwołanie konferencji. Jak bowiem już pisaliśmy na tym miejscu, kraje zachodnie chcą rozmawiać **tylko o nafcie,** podczas gdy kraje trzeciego świata zainteresowane są przedyskutowaniem **całokształtu stosunków między eksporterami a importerami surowców.** Siódemka krajów upoważnionych do rozmów w Paryżu: Algieria, Arabia Saudyjska, Iran, Wenezuela oraz Brazylia, Indie i Zair podtrzymała stanowisko, wyrażone przez szefów krajów, wytwarzających ropę, że porządek dzienny planowanej konferencji powinien obejmować wszystkie palące problemy zainteresowanych stron. A jest ich naprawdę wiele. Wykazała to specjalna sesja Zgromadzenia Ogólnego NZ, która — przypomnijmy — odbyła się przed rokiem.

Czas rozmów paryskich zbiegł się z opublikowaniem przez Europejską Komisję Gospodarczą raportu o **możliwości zmniejszenia zużycia energii w ciągu 15 lat o jedną trzecią.** W tym celu trzeba by jednak: efektywniej przerabiać ropę, wykorzystać ciepło odpadowe, lepiej izolować budynki, ograniczyć temperatury w pomieszczeniach i szybkość samochodów na drogach, zredukować indywidualny transport na rzecz publicznego, zmienić rodzaj oświetlenia...

Wszystko to razem może tylko utwierdzać nas w przekonaniu, że ropa naftowa długo będzie jednym z głównych bohaterów na rynkach światowych.

W. SŁAWSKI

TELEWIZJA

COLUMBO CONTRA STAŃCZYK

Czy Państwo zauważyli, że serial S.O.S. jest bodaj i zaledwie drugim po „Kapitanie Sowie na tropie" serialem kryminalnym TVP? Jest to rzecz dziwna, bowiem gatunek ten w polskiej literaturze masowej zdążył już ukształtować swoją postać poparta 100 tysięcznymi nakładami, a także w kinematografii zostawił pewien ślad. Telewizja zaś załatwia społeczny głód na treści kryminalne produkcją importowaną z Zachodu, gdzie zdarzają się przykłady tak znakomite jak ostatnio „Columbo". „Columbo" zresztą dość nieoczekiwanie zbliża się pod pewnymi względami do tej wersji kryminalnego tematu, jaka wytworzyła się u nas. Detektyw, którego pokazał nam odtwórca roli tytułowej Peter Falk daleko odbiega od dystyngowanych wzorów „rycerzy prawa" w anglosaskiej tradycji. Porucznik Columbo jest niepozorny, niedbały w stroju i niezdarny w zachowaniu, słowem — szary człowiek z ulicy. Lecz pod tymi pozorami kryje się piekielna inteligencja, która na podstawie dziesiątek drobnych przesłanek odtwarza szczegółowy mechanizm zbrodni i prowadzi wyrafinowaną grę psychologiczną z przestępcą. W „Columbo" obok kreacji detektywa najbardziej ciekawy jest świat zbrodni. Otóż — i tu jest to niespodziewane zbliżenie do „zbrodni po polsku" — morderca wywodzi się najczęściej ze świata ludzi bogatych, byznesmenów, rekinów finansjery, „prywatnej inicjatywy" byśmy powiedzieli.

Warto przypomnieć, że w tradycji amerykańskiej te sfery społeczne składające się na establishment pozostawały poza podejrzeniem, a detektywi poszukiwali swoich ofiar raczej w dołach społeczeństwa aniżeli na jego wierzchołkach. W tym zwrocie oskarżenia pokazanym w „Columbo" kryją się symptomy szerszych przemian społecznych. Wysoko wzniesiona fala społeczno-politycznych niepokojów zmieniła nie tylko pejzaż socjalny nowego filmu amerykańskiego, ale dotarła również do najbardziej zestandaryzowanych produktów kultury masowej, do jakich należy w pierwszym rzędzie serial telewizyjny.

A jaki jest bohater negatywny polskiego kryminału? Odpowiedź na to pytanie pozostaje w pewnym związku z następną kwestią: dlaczego nasza TV żywi się importem kryminalnym a zaniedbuje produkcję własną? Otóż wypada w tym miejscu powtórzyć prawdę powszechnie znaną, która głosi, że nasza społeczna gleba z założenia nie sprzyjała i nadal nie sprzyja detective story. W czasach gdy założenia przesłaniały rzeczywistość nie było w ogóle miejsca na zbrodnię, a jeśli już się zdarzała, to nieuchronne przystawiano jej polityczny stempel. Później gatunek ten rozwinął się u nas w dwóch wersjach: zagranicznej i krajowej. Zagraniczna, spod znaku Joe Alexa dość niewolniczo imitowała powieść kryminalną anglosaską i jej żałosne odbicie trafiło do czwartkowej „Korby". Krajowa zaś rozwinęła charakterystyczny i ograniczony repertuar fabularny, rekompensując ograniczenia pewnym bogactwem obyczajowym i dokumentalnym. Ograniczenia polskiego kryminału pochodzą z określonej pedagogiki, która przestępstwo bądź to usuwa na wstydliwy margines opinii publicznej, bądź też posługuje się nim z intencją dydaktyczną. Przy tym założeniu polska powieść kryminalna, pamiętając o obowiązkach dydaktycznych wybrała dość wąski społecznie sektor oskarżenia. Oddajmy lepiej głos przedstawicielowi MO, który tak o tym mówi w jednej z polskich powieści kryminalnych:

„My, ludzie z milicji, wprawdzie dość dobrze wiemy, że i w Polsce istnieje ten (...) „dziwny świat" ludzi „urodzonych w niedzielę", ale jest to świat, który stara się uniknąć kontaktów z MO. A my bardzo interesujemy się tym światem. Nie tyle zresztą nim, ile źródłami tych wszystkich wysokich zarobków, pozwalających na taki tryb życia. Na te samochody po siedem tysięcy dolarów sztuka, wille, perskie dywany i bary wbudowane w salonie. Nasza ciekawość nie jest ani bezowocna ani nieuzasadniona. Niejeden z tej „bananowej elity" zamienił już wytworną willę na znacznie skromniej umeblowaną celę. Na tym samym Mokotowie. Nawet jeśli się ma najlepszą posadę czy najlepiej prosperujące legalne przedsiębiorstwo".

Otóż czytelnik polskich kryminałów oglądając „S.O.S." czuł się jak u siebie w domu. Bowiem serial ten nie odbiegał od zasadniczych założeń tego gatunku, zwłaszcza w realizacji bohatera negatywnego. Hubert Stańczyk, spokojny obywatel, tyle że właściciel komfortowej willi, luksusowego samochodu, tudzież prywatnego warsztatu okazuje się być łysym zboczeńcem, erotomanem-sadystą. Do swojej szatańskiej roboty angażuje studenta i kilku „niebieskich ptaków". Na trop tego dobranego pornograficznego gangu wpada dziennikarz-radiowiec. I to jest pewne novum, gdyż mamy tu do czynienia z rzadką na gruncie polskim próbą kreacji detektywa-amatora, który jednak długo nie wytrzyma w swojej roli, gdyż w miarę poszerzania się afery do akcji wkracza stopniowo MO od porucznika począwszy a na pułkowniku skończywszy. Całość kończy się w świetnej zgodzie ze schematem, czyli próbą ucieczki zbrodniarza na Zachód efektownie uwieńczoną zatrzymaniem go w ostatniej chwili. Tyle schemat. Jeśli jednak „S.O.S." był oglądany z narastającą z odcinka na odcinek ciekawością, to jest to zasługa bardzo sprawnej reżyserii Janusza Morgensterna oraz aktorów, których obecność w tym filmie odnotowaliśmy niekiedy nie bez zdziwienia.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

JAN T. JANICKI

OPERACJA BERLIŃSKA

W nocy z 15-go na 16-go kwietnia 1945 roku Armia Czerwona rozpoczęła ostatnią w drugiej wojnie światowej operację strategiczną, w wyniku której rozbity został zasadniczy trzon armii hitlerowskiej i zmuszono wroga do bezwzględnej kapitulacji. Hitlerowski faszyzm dobito we własnym gnieździe — Berlinie.

SYTUACJA POLITYCZNO-MILITARNA

Ofensywne działania wojsk sprzymierzonych na wiosnę 1945 r. doprowadziły do zasadniczych zmian na frontach drugiej wojny światowej. Siły zbrojne czterech mocarstw wkroczyły na terytorium Niemiec, walki toczono już na ziemi wroga.

W wyniku pomyślnie przeprowadzonych operacji: wiślańsko-odrzańskiej, wschodniopruskiej i pomorskiej, wojska Armii Czerwonej dotarły do Odry. W jej dolnym biegu udało się nawet uchwycić przyczółki na zachodnim brzegu. Na południu wojska I Frontu Ukraińskiego dotarły do Nysy na południe od Schenkendorfu. Do Berlina pozostało 80—100 kilometrów.

W tym samym czasie wojska armii sojuszniczych po stosunkowo łatwym przełamaniu „linii Zygfryda" dotarły do linii Renu, nie napotykając większego zorganizowanego oporu. Front zachodnio-europejski skupiał nie więcej niż 20 proc. całości sił zbrojnych Niemiec. W tym okresie Niemcy dysponowali na zachodzie bardzo osłabionymi 60 dywizjami, których zdolność bojowa równała się sile około 26 dywizji o pełnych stanach etatowych. Zasadnicze siły przerzucono na front wschodni. Niemieckie naczelne dowództwo nawet w krytycznym okresie dla zgrupowania w Zagłębiu Ruhry kosztem frontu zachodniego umacniało wschodni.

Wojska sojusznicze natomiast miały 80 pełnowartościowych dywizji, w tym 23 dywizje pancerne. Ponadto posiadały tak zdecydowaną przewagę w siłach powietrznych, że były w stanie zdusić w dowolnym rejonie wszelki opór militarny. Nie czekając na ostateczne zlikwidowanie zgrupowania niemieckiego w Zagłębiu Ruhry, Naczelne Dowództwo wojsk sojuszniczych w pośpiechu rzuciło główne siły na kierunek berliński, w celu osiągnięcia rubieży Łaby, marząc po cichu o wkroczeniu do Berlina przed Armią Czerwoną. Stanowisko takie odpowiadało zamierzeniom dowództwa wojsk hitlerowskich. Odciążając bowiem front zachodni i organizując zaciekły opór na wschodzie, dążyło do przedłużenia działań, sądząc iż wcześniej czy później w obozie sojuszniczym dojdzie do rozłamu i generałowie hitlerowscy będą mogli zawrzeć separatystyczny pokój z Naczelnym Dowództwem wojsk alianckich. Ku temu zmierzały również ich potajemne negocjacje dyplomatyczne. Plany te rozwiały dopiero strzały nad Odrą.

Dowództwo hitlerowskie oczekując decydującego natarcia Armii Czerwonej, skoncentrowanej na kierunku berlińskim, zgromadziło tutaj największe siły, gdyż było rzeczą oczywistą, że bitwa o Berlin zadecyduje ostatecznie o losach reżimu faszystowskiego. Odra z uwagi na ukształtowanie zachodniego brzegu oraz terenów leżących poza nim stanowiła główną linię obrony, była strategicznym przedpolem Berlina.

SYSTEM OBRONY

Na wschodnim operacyjno-strategicznym kierunku obrony Niemcy posiadali cztery armie liczące 90 dywizji, w tym 14 pancernych, 37 samodzielnych pułków i 98 samodzielnych batalionów w sumie co najmniej milion żołnierzy, 10 tysięcy dział i moździerzy, 1500 czołgów i dział pancernych, 3300 samolotów bojowych, w samym zaś Berlinie sformowano 200-tysięczny garnizon, na czele którego początkowo stanął Himmler, później zaś stanowisko to objął gen. Weidling.

Niemcy stworzyli pomiędzy Odrą a Berlinem potężny system obrony złożony z trzech silnych pasów obrony. Każdy z tych rozbudowanych w głąb pasów obrony składał się z trzech pozycji obronnych, z których każda obejmowała dwie do trzech linii rowów ciągłych. Głębokość każdego pasa obrony dochodziła do 4—6 kilometrów. Wszystkie trzy pasy były zawczasu obsadzone przez wojska, podejścia do nich osłaniały różne przeszkody przeciwpancerne i przeciw piechocie: pola minowe, zasieki z drutu kolczastego, zapory itd. Hitlerowcy zapewnili tu sobie taką gęstość ognia, jakiej nie udało się im osiągnąć w żadnej z poprzednich operacji. Do osłony powietrznej własnych linii obrony Niemcy wykorzystali na szeroką skalę lotnictwo berlińskiej strefy obrony przeciwlotniczej.

Oprócz tych trzech pasów obrony był jeszcze tzw. berliński pierścień obrony, stanowiący system umocnień obronnych okalających rejon Berlina, jego przedmieścia i dzielnice centralne.

Dowództwo niemieckie przygotowywało miasto Berlin do obrony już poczynając od stycznia. Miasto podzielono na 9 sektorów obrony. Do obrony każdego odcinka wyznaczono i szkolono specjalne załogi z dowódcami na czele. Do robót obronnych powołano dosłownie całą ludność Berlina. Wykorzystano do obrony miasta jako ośrodki i punkty oporu część ocalałych domów, ruiny i piwnice. Wszystkie ulice zabarykadowano, znaczną ich część zaminowano. Przygotowano system ognia, który pokrywał wszystkie ulice miasta.

Niezwykle utrudniał wojskom radzieckim walkę o Berlin rozwinięty system zabudowań podziemnych. Na głębokości 5, 10 i więcej metrów pod ziemią zbudowano wiele galerii, magazynów amunicji i broni, koszar dla załóg, głównych punktów oporu i stanowisk dowodzenia; w tym samym celu wykorzystano tunele kolei podziemnej, sieć kanalizacyjną, piwnice. Plan tego całego „podziemnego gospodarstwa" utrzymywano w najgłębszej tajemnicy. Wejścia do schronów podziemnych były doskonale zamaskowane i trudne do wykrycia.

Zmobilizowano młodzież i starszych, umundurowano „Hitlerjugend" i „Volkssturm". Zastosowano drakońskie środki terroru wobec „elementów siejących panikę" i przeciwko „samolubom". Wydany został rozkaz otwierania bez uprzedzenia ognia artyleryjskiego do oddziałów wycofujących się z pozycji obronnych. Uczyniono zatem wszystko,

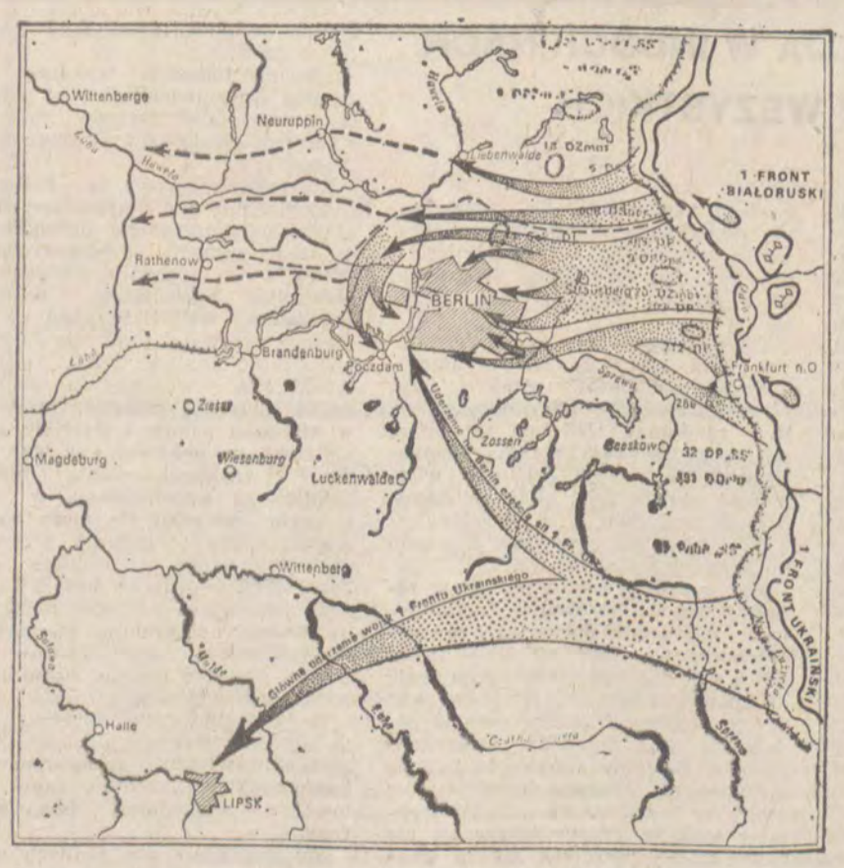

Fot. Archiwum

by odeprzeć natarcie wojsk radzieckich i przewlec wojnę.

PLAN NATARCIA

„Zamiar operacji berlińskiej — pisze dowódca 1 Frontu Białoruskiego, marszałek Żukow — zrodził się w Kwaterze Głównej w zasadzie już w listopadzie 1944 roku, jego zaś konkretyzacja i uaktualnianie odbywały się w toku przeprowadzanych walk poszczególnych frontów. W ciągu całego okresu przygotowawczego do tej operacji wojska radzieckie prowadziły intensywne rozpoznanie, w wyniku którego dowództwo uzyskało dostateczne pełne dane o obronie nieprzyjaciela, systemie ognia i ugrupowaniu wojsk pierwszego rzutu, a także jego odwodów. Ostateczne jednak decyzje o natarciu zapadły 1 kwietnia w Kwaterze Głównej.

Centralne uderzenie postanowiono wykonać z przyczółka kostrzyńskiego siłami czterech armii ogólnowojskowych i dwóch armii pancernych. Zgodnie z otrzymanym projektem dyrektywy, 1 Front Białoruski, pod dowództwem marszałka Żukowa, miał za zadanie przygotowanie i przeprowadzenie operacji, której celem było opanowanie Berlina i dotarcie w ciągu 12—15 dni do rzeki Łaby.

Do zadań 1 Frontu Ukraińskiego działającego na południe od kierunku głównego uderzenia, należało rozgromienie wojsk nieprzyjacielskich na kierunku działania, izolowanie przez związanie walką głównych sił Armii „Środek" i osłonięcie w ten sposób działań 1 Frontu Białoruskiego; wyjściu w przeciągu 10—15 dni na rubież Wittenbergu, wzdłuż rzeki Łaby aż do Drezna i po przełamaniu obrony — utrzymanie 3 i 4 armii pancernej na kierunku Berlina. Natomiast 2 Front Białoruski, którym dowodził marszałek Rokossowski, w związku z likwidowaniem zgrupowań bojowych nieprzyjaciela w rejonie Prus i Pomorza, miał wejść do walki o 4 doby później. Tak więc 1 Front Białoruski, w ciągu pierwszych, najtrudniejszych dni musiał nacierać z odsłoniętym prawym skrzydłem, bez taktycznego współdziałania z sąsiadami.

Przyjęty plan działania wymagał ogromnego przygotowania w stosunkowo krótkim okresie czasu. Na podstawie zdjęć lotniczych, zdobytych dokumentów, przesłuchania jeńców, sporządzono szczegółowe mapy i plany, w które zaopatrzono wszystkie jednostki wojskowe i instancje dowódczo-sztabowe do szczebla kompanii włącznie. Oddziały wojsk inżynieryjnych wykonały specjalne makiety miasta, które wykorzystano w toku studiowania problemów związanych z organizacją natarcia, generalnego szturmu Berlina i prowadzenia walk ulicznych. W dniach od 5 do 7 kwietnia przeprowadzona została narada i gra dowódcza na mapach i makiecie Berlina. Jej uczestnikami była kadra dowódcza wszystkich oddziałów i pododdziałów biorących udział w operacji. Jednocześnie z przygotowaniem operacyjno-taktycznym, toczyły się gigantyczne zmagania przy zaopatrzeniu materiałowym wojsk frontowych. Było to przedsięwzięcie bez precedensu, gdyż zaopatrzenie i dozbrojenie dwu i pół milionowej armii odbywało się przy ustawicznie ponawianych działaniach bojowych nieprzyjaciela i w czasie zażartych walk o przyczółki na Odrze. Szerokość rzeki dochodziła na niektórych odcinkach do 380 metrów, jednocześnie trwał już wiosenny spływ kry. A mimo wszystko do chwili zajęcia przez związki taktyczne rejonów wyczekiwania zdołano zbudować na Odrze 23 mosty i 25 przepraw promowych. Zgromadzono olbrzymie ilości artylerii — na głównym kierunku uderzenia na jeden kilometr frontu przypadało około 270 luf artyleryjskich kalibru od 76 mm wzwyż. Dowództwo radzieckie przekonane było iż tylko przy takim nagromadzeniu sił i środków, które porazi swoim impetem wroga w pierwszej chwili uderzenia i pozwoli kontynuować ciągłe natarcie, może doprowadzić do przełamania i zniszczenia obrony nieprzyjaciela. W dniach 14 i 15 kwietnia wykonano uderzenie artyleryjskie, którego celem było rozpoznanie walką systemu ognia nieprzyjacielskiego, a także wynajdywanie luk i słabszych miejsc w jego obronie. Niemcy potraktowali to jako początek natarcia i ściągnęli dodatkowo na przedni skraj masę sprzętu i wojska, co znacznie osłabiło ich dalsze pozycje obronne.

UDERZENIE

16 kwietnia o godzinie 3 nad ranem, jeszcze przed nastaniem świtu, na pozycje niemieckie w pobliżu miejscowości Schwedt i Gubina spadła lawina ognia i żelaza. Moment ten opisuje dowódca 1 Frontu Białoruskiego, marszałek Giergij Żukow:

„W tej samej chwili wystrzeliło wiele tysięcy dział moździerzy i naszych legendarnych katiusz, oświetlając jaskrawo cały teren, a niedługo potem rozległ się wstrząsający grzmot wybuchów pocisków, granatów moździerzowych i bomb lotniczych. W powietrzu narastał nie milknący huk silników samolotów bombowych... rozbłysły tysiące różnokolorowych rakiet. Na ten sygnał włączono 140 reflektorów rozmieszczonych wzdłuż frontu co 200 metrów. Ponad 1000 miliardów świec oświetlało pole walki, oślepiając nieprzyjaciela i wychwytując z ciemności obiekty ataku dla naszych czołgów i piechoty. Obraz ten robił ogromne wrażenie, chyba przez całe życie nie widziałem czegoś równie niezwykłego".

„Po trzydziestominutowym potężnym ogniu artyleryjskim, w czasie którego nieprzyjaciel nie oddał ani jednego strzału, co świadczyło o obezwładnieniu i naruszeniu systemu obrony, wojska Armii Czerwonej przeszły do ogólnego natarcia.

W ciągu pierwszych czterech dni walki, pokonując zaciekły opór i odpierając liczne kontruderzenia, wojska 1 Frontu Białoruskiego opanowały trzeci pas obrony nieprzyjaciela. W tym samym czasie zgrupowanie uderzeniowe 1 Frontu Ukraińskiego wdarło się w głąb obrony wroga i rozwijało natarcie w dwóch kierunkach: na Torgau i na Berlin. To był początek końca hitlerowskiej Rzeszy.

NASZ UDZIAŁ

Do walki w operacji berlińskiej skierowane zostały również dwie armie polskie. W ramach działań 1 Frontu Białoruskiego walczyła 1 Armia Wojska Polskiego pod dowództwem gen. dyw. Stanisława Popławskiego, natomiast 2 Armia WP — gen. dyw. Karola Świerczewskiego wchodziła w skład 1 Frontu Ukraińskiego. Razem obie armie liczyły prawie 200 tys. żołnierzy, ponad 3 tys. dział i moździerzy, 500 czołgów i dział pancernych oraz 320 samolotów. Niezależnie od wojsk biorących udział w bezpośrednich walkach na froncie, na jego zapleczu przygotowywało się do walki lub też działało na rzecz frontu dalszych 200 tys. żołnierzy. Stanowiliśmy więc dość pokaźną siłę bojową. W stosunkach do wszystkich wojsk działających na tym froncie nasze jednostki stanowiły 8 procent żołnierzy, 7,5 procent artylerii i 8 procent broni pancernej. Nasze armie prowadziły działania na 45 kilometrach szerokości pasa natarcia. Było to sporo, zważywszy iż cała długość linii frontu wynosiła 262 km. Nasz wkład bojowy zaważył w sposób istotny na szali wydarzeń tamtych dni. Wysiłek Wojska Polskiego w operacji berlińskiej był znaczny, zarówno pod względem liczby walczących i technicznego sprzętu bojowego, jak i realnego wkładu do operacji poszczególnych strategiczno-operacyjnych związków Armii Radzieckiej. Nasze straty, największe z dotychczasowych, wyniosły około 30 tysięcy żołnierzy.

Ramię w ramię obok siebie poszli do szturmu na ostatnie bastiony hitleryzmu radzieccy i polscy żołnierze. Nie szczędzili trudu i krwi w torowaniu drogi do stolicy hitlerowskich Niemiec — Berlina.

MIESZKANIE

Za przeszło 5 lat w Bełchatowie rozpocznie się budowę Osiedla „Rok 2000", przy projektowaniu którego nie obowiązują żadne ograniczenia urbanistyczne, jakie stosuje się jeszcze dziś. Dążąc do rozwiązania współczesnej nam kwestii mieszkaniowej, musimy budować nie takie mieszkania jakie byłyby nam potrzebne, ale takie, na jakie nas aktualnie stać. Mieszkanie jednak jest już dziś nie tylko przestrzenią ograniczoną ścianami i podzieloną na pokoje, ale stało się pewnym zjawiskiem społecznym. Właśnie o tym zjawisku, o kształtowaniu mikrośrodowiska człowieka, traktuje po raz drugi już wydana książka Juliusza Goryńskiego: „Mieszkanie wczoraj, dziś i jutro".

Książka ta nie jest ani poradnikiem, ani monografią historyczną mieszkania, choć sięga do przeszłości i można z jej lektury wyciągnąć wiele wniosków praktycznych. Autor postawił swojej pracy cel „rozwijania świadomej i aktywnej postawy w kształtowaniu mikrośrodowiska mieszkalnego". I można spodziewać się, że książka cel taki w jakiejś części osiągnie, istnieje bowiem ogromne zainteresowanie problematyką współczesnego mieszkania, jak i wiele pytań na temat tego, co w przyszłości zrobimy z tym, co dziś tak ilecznie i szybko budujemy?

Juliusz Goryński — architekt, naukowiec (SGPiS, Uniwersytet Łódzki), przedstawiciel i ekspert Polski w różnych komisjach ONZ — prezentuje nam swoje poglądy nie tylko na przeszłość i teraźniejszość problemu mieszkaniowego, ale stawia też interesujące prognozy. Lektura jego książki pozwoli niewątpliwie znaleźć wiele odpowiedzi na interesujące każdego z nas pytania.

Juliusz Goryński — „Mieszkanie wczoraj, dziś i jutro", Wiedza Powszechna, Warszawa — 1975, str. 324, cena: zł 20,—

BLIŻEJ CZŁOWIEKA

„Od psychiatrii biologicznej do humanistycznej" — już tytuł książki Kazimierza Jankowskiego wiele wyjaśnia. Sam autor tak charakteryzuje swoją pracę:

„Głównym celem tej książki jest wykazanie, że choroby psychiczne (w zawężonym przeze mnie znaczeniu) stanowią logiczne następstwo nie zaspokojonych potrzeb ludzkich. Logicznym krokiem o charakterze terapeutycznym byłoby zatem stworzenie warunków zaspokojenia tych potrzeb. Nie chodzi tu o potrzeby fizjologiczne. Społeczeństwo przemysłowe, którym się stajemy, zaspokaja te potrzeby sprawnie. Problemem człowieka w społeczeństwie przemysłowym mogą być jednakże nie zaspokojone potrzeby psychologiczne, o których niewiele dotychczas wiemy. Ludowe powiedzenie mówi: „nie samym chlebem człowiek żyje". Ale czym żyje? Jest to pytanie, na które będę starał się szukać odpowiedzi".

Kazimierz Jankowski pisze przede wszystkim o psychiatrii humanistycznej, przeciwstawiając ją psychiatrii biologicznej, preferującej w leczeniu środki farmakologiczne. Książka ta przeznaczona jest głównie dla specjalistów, lekarzy i psychologów. Można jednak wróżyć jej ogromną popularność także wśród czytelników nie związanych z tymi dziedzinami wiedzy. Współczesna cywilizacja przyniosła z sobą zagrożenie dla psychiki człowieka, z drugiej strony współczesna psychiatria przeżywa ostry kryzys. Ludzie chorzy, nawet po długotrwałym leczeniu, nie są zdolni do normalnego życia w zdrowym społeczeństwie. Książka Kazimierza Jankowskiego traktuje nie tylko o społeczno-psychologicznych uwarunkowaniach zaburzeń psychicznych, ale uważnemu czytelnikowi w znacznym stopniu pozwoli zrozumieć własne reakcje, pozwoli lepiej poznać samego siebie. Pasja, głębokie zaangażowanie, ogromna wiedza o przedmiocie, a przede wszystkim umiejętność przekazywania trudnych, specjalistycznych problemów w sposób przystępny i zrozumiały dla przeciętnego czytelnika, to główne walory książki Kazimierza Jankowskiego

Kazimierz Jankowski — „Od psychiatrii biologicznej do humanistycznej", PIW, Warszawa — 1975, str. 378, cena: zł 35,—

BEZ PODEJRZEŃ

Wiesław Rogowski lojalnie ostrzega czytelnika: „Niechaj ta książka nie nasuwa Wam żadnych podejrzeń". Zastrzega się, że „nie jest to opis faktów i zachowań ludzi podczas wydarzeń w żadnym znanym miejscu". Można więc spokojnie przystąpić do lektury „Awarii", pamiętając, że impuls, który skłonił autora do napisania historii jednego pożaru, jest w każdym z nas. Jesteśmy bowiem zawsze ciekawi tego, jak ludzie — znani nam i bliscy, z którymi czasem różny chleb jadło się z różnych pieców — zachowają się w obliczu nie przewidzianych i nieoczekiwanych wydarzeń. Dla Wiesława Rogowskiego takim nieprzewidzianym i nieoczekiwanym wydarzeniem stał się pożar wielkiego zbiornika w fabryce, której nie ma na żadnej gospodarczej mapie, a która może być wszędzie, w każdym miejscu.

Pożar dokonał nagłych przewartościowań. Ci, którzy mieli uznanie z racji swoich funkcji nagle je potracili, gdyż okazali się bezradni wobec żywiołu, inni, nie posiadający formalnego uznania, nagle zdobyli autorytet, gdyż potrafili działać i kierować innymi w sytuacji awaryjnej. To przewartościowanie dokonuje się jednak nie tylko w zbiorowości zagrożonej pożarem, ale w każdym z bohaterów powieści.

„Awarię" czyta się z zaintersowaniem, jak każdą książkę, która podejmuje trudny temat współczesności. Co dzień stajemy wobec różnych konfliktów, dużych, małych, zupełnie błahych i w literaturze szukamy potwierdzenia swoich racji, wahań, wątpliwości, załamań i postanowień. Czasem po prostu szukamy wzorców. Czy „Awaria" może pomóc nam w tych poszukiwaniach i gwałtownym dążeniu do konfrontacji?

Akcja „Awarii" rozgrywa się jakby na dwóch płaszczyznach — jednej rzeczywistej, stanowiącej groźbę rozprzestrzenienia się pożaru i — drugiej — wewnętrznej, tkwiącej w świadomości bohaterów. Stojąc w obliczu skomplikowanej sytuacji sięgają oni w przeszłość, rozpamiętują swój rodowód, aby czytelnik tym łatwiej mógł zrozumieć to, co aktualnie robią. Czytelnikowi jednak może się wydać, że autorowi zabrakło tworzywa na pełniejsze narysowanie konfliktu, scharakteryzowanie postaw ludzi, którzy znaleźli się w awaryjnej sytuacji. Wpychająca się ciągle w aktualność przeszłość zaczyna przeszkadzać. Ale czy czasem tak nie jest w życiu? Mimo prośby autora, „Awarii" nie można czytać bez podejrzeń i odniesień do żywej współczesności, pulsującej wielokrotnością różnych konfliktów i problemów. I chyba to dobrze.

Wiesław Rogowski — „Awaria", Wydawnictwo „Książka i Wiedza", Warszawa — 1975, str. 144, cena: zł 14—,

NIESKOŃCZONOŚĆ POMYSŁÓW

Czytelnik „specjalizujący się" w lekturze powieści fantastyczno-naukowych nabrał już zapewne przekonania do spółki autorskiej braci Arkadija i Borysa Strugackich. Ich „Piknik na skraju drogi", zaskakujący tempem akcji i pomysłowością, był dla nas przypomnieniem, że Kosmos wcale nie musi się nami interesować, że możemy leżeć na „skraju drogi", i jeżeli nawet wylądowałyby na Ziemi istoty z innej planety, to mogłyby się zatrzymać niczym na piknik, w miejscu leżącym na skraju ich drogi.

Obecnie, w serii „Iskier" — „Fantastyka — Przygoda" ukazała się kolejna książka braci Strugackich: KONIEC AKCJI „ARKA". W tej powieści, z równie wartką akcją, Ziemianie wyruszyli w Kosmos, aby spełnić tam pożyteczną misję. Właśnie mają zamiar uratować mieszkańców jednej z planet, zagrożonej wybuchem ich słońca, i chcą przenieść ich na inną planetę, którą trzeba tylko biologicznie zaktywizować. Czy to się uda?

Nie zdradzając przed czytelnikiem odpowiedzi na postawione powyżej pytanie, można tylko dodać, że mimo iż akcja powieści toczy się na dalekiej planecie, postacie Ziemian są wyraziście zarysowane i można byłoby je tylko przenieść w surowe warunki naszego globu a zapewne nie zawiodłyby nas i znalazły dla siebie mnóstwo interesujących przygód. Ten fakt podnosi tylko walory książki braci Strugackich.

B.M.

Arkadij Strugacki i Borys Strugacki — „Koniec akcji „Arka", Iskry, Warszawa — 1975, str. 218, cena: zł 14,—

WARTO PRZECZYTAĆ

M. Rodziewiczówna — „Czahary", W. Lit. cena 30 zł.
J. Milton — „Raj utracony", PIW, cena 80 zł.
S. Piętak — „Młodość Jasia Kunefała", LSW, cena 48 zł.
C. Sijaric — „Ja eunuch", PIW, cena 15 zł.
K.I. Gałczyński — „Liryka i groteska", Czytelnik, cena 32 zł.
J.W. Goethe — „Cierpienia młodego Wertera", Ossolineum, cena 28 zł.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

METODYKA i NUDA

„Pewien znany pisarz po swoim spotkaniu literackim poproszony został w redakcji o sporządzenie krótkiego zeń sprawozdania. Usiadł zatem nad stosem kartek papieru, pisał, kreślił, darł jedną po drugiej, aż w końcu bezradnie rozłożył ręce. Pełniący dyżur dziennikarz pośpieszył mu z pomocą: zadał kilka podstawowych pytań, usiadł przy maszynie do pisania i po chwili sprawozdanie było gotowe. „Panie — wykrzyknął zachwycony literat — pan jest genialny/" — „Nie — zaprotestował dziennikarz — geniuszem jest pan. Ja natomiast jestem dobrym rzemieślnikiem".

Taka anegdotka otwiera książkę pt. „Metodyka dziennikarska" i autor twierdzi, że ona „dobrze ilustruje" swoistość twórczości dziennikarskiej.

Guzik prawda. Trzeba jednak przyznać, że ta anegdotka „dobrze ilustruje" stosunek autora do twórczości dziennikarskiej. Jeśli się bowiem zakłada, że dziennikarstwo to tylko rzemiosło — wtedy można usprawiedliwić charakter tej naiwnej książki. Można usprawiedliwić fakt jej napisania i wydania. Ba, można nawet twierdzić, że przyda się ona na cokolwiek dziennikarzom początkującym, albo czegoś nowego się z niej dowiedzą dziennikarze z praktyką.

Tylko, że to nieprawda. Z „Metodyki dziennikarstwa" pokpiwają i starzy i młodzi — czytając ją, uśmiechają się nawet członkowie Klubów Dziennikarzy Studenckich. Przede wszystkim książka jest nudna, ale oczywiście to byłby zarzut najmniej poważny, bo przecież „Metodyka" jest podręcznikiem, a podręczniki nie muszą być literaturą rozrywkową. Można by więc wybaczyć ten drewniany język książki, gdyby niosła ona w sobie jakieś ciekawsze informacje, pomocne w pracy dziennikarskiej. Oczywiście książka przynosi parę recept — lecz przecież wiadomo, że w pisarstwie wszelkie recepty i „dobre rady" nie warte są funta kłaków. A dziennikarstwo jest swoistą odmianą pisarstwa.

Niedawno na giełdzie bibliofilów widziałem książeczkę wydaną tuż po wojnie we Wrocławiu i zatytułowaną „Jak zostać pisarzem". Oczywista lipa — nic więc dziwnego, że książeczka trafiła za słoną cenę do rąk zbieracza kuriozów. „Metodyka dziennikarstwa" przypomina mi tamto kuriozum. Wiadomo przecież, że można się nauczyć łamać numer, makietować kolumny, wymierzać zdjęcia — ale do pisania potrzebna jest po prostu pasja, talent lub uzdolnienia. „Dziennikarstwo to nie zawód — mówią starzy praktycy — dziennikarstwo to charakter". Jest to, co prawda, parafraza powiedzonka o innym, bardzo starym zawodzie, ale nie szkodzi. Bardzo wiele prawdy kryje się w tym powiedzeniu.

Nie można zatem „nabyć" charakteru, kupując książkę za wygórowaną cenę 35 złotych. Nie można nabyć charakteru czytając uważnie 180 stron nudnych rozważań o wybitnie odkrywczych walorach.

Takich na przykład: **„Dokonując wyboru elementów rzeczywistości dla przekazania ich odbiorcy, dziennikarz musi mieć na względzie cele, jakie sobie zakłada, skutki, jakie przewiduje i własne możliwości realizacyjne".** Albo to: **„Adiustując tekst merytorycznie, dziennikarz zwraca uwagę na zgodność podawanych informacji ze znanym sobie stanem faktycznym, z założeniem autorskim oraz z założeniami polityki redakcyjnej, którą warunkuje ideowy i wychowawczy kierunek pisma".**

Przepraszam, dla kogo to jest pisane? Jeśli dla harcerskich kółek zainteresowań, to w porządku, ale jeśli dla ludzi dorosłych, to przecież autor się ośmiesza.

Na którą stronę „Metodyki" by nie spojrzeć, wszędzie mamy fantastyczne rady o wartości bezcennej. Czytamy więc, że ważne jest, aby notując **„nazwiska i nazwy zapisywać w całości** (sic!), że **„konstrukcja anegdotyczna nie nadaje się do relacjonowania wszystkich wydarzeń"**... Albo, że **„specjalizacja dziennikarska oznacza przede wszystkim orientację w określonej dziedzinie..."** Mówiąc prościej, specjalizacja oznacza specjalizację. Bardzo słuszne.

Bibliografia zawarta na końcu „Metodyki" podaje 111 tytułów. Tyle książek przeczytał autor, żeby napisać swoich 180 stron. Gdyby przeczytał jeszcze trochę, wypadałaby jedna książka na stronę „Metodyki". Szkoda, ale i tak mamy klasyczny przykład, jak ilość n i e przechodzi w jakość.

WIDOK

LEWYM OKIEM

WZUWANIE NA KOŃCZYNY GÓRNE

Machejek w „Życiu Literackim" nie może wyjść ze zdumienia, jak to możliwe: ledwie że zakończyły pracę komisje, które miały sprawdzić, czy wszyscy zatrudnieni są należycie wykorzystywani, czy pracują naprawdę na miarę swych kwalifikacji i możliwości, ledwie ogłoszono rozporządzenie, że za zatrudnienie jednego tylko pracownika ponad limit planowy zapłaci pracodawca 20 tysięcy złotych kary... i jakie tego wyniki?

Komisje znalazły 120 tysięcy osób zatrudnionych niepotrzebnie. Jednocześnie 130 tysięcy osób przyjęto do pracy w samym tylko styczniu ponad plan, a więc w sposób karalny. Zupełny surrealizm. Ciekawe byłoby dowiedzieć się, czy za tych sto trzydzieści tysięcy nadliczbowych wpłynie do skarbu państwa dwa i pół miliona złotych kar, oraz, co stało się ze stu dwudziestoma tysiącami ludzi, uznanych za zbędnych. Bo może bywało tak, że pięciu „zbędnym" podziękowano, a siedmiu przyjęto na te same funkcje? Z tymi samymi zakresami bezczynności, tylko trochę inaczej nazwanymi?

Wobec ogólnie znanego deficytu papieru szereg pism publikuje wnioski i pomysły czytelników, mające na celu ograniczenie zużycia tego surowca. Informacje o sążnistych „instrukcjach użytkowania", dołączanych do różnych wyrobów, są ze wszech miar słuszne i nie można się nimi nie denerwować. Producenci wysilają się na straszliwie mądre pouczenia o tym, że rękawice nosi się na rękach — przepraszam: że wyroby narzędziowe służą do wzuwania na kończyny górne celem ich zabezpieczenia przed wpływami środowiska bio — meteoro — mechano — termo — hydro — kinetycznego. Do diabła z takimi instrukcjami! Oszczędzać papier!

Ale czytam też pomysł, żeby zlikwidować nalepki firmowe na bochenkach chleba. Wiecie, takie nalepki wielkości znaczka pocztowego. List czytelnika w tej sprawie, zamieszczony w poczytnym dzienniku, zajmował 120 centymetrów kwadratowych. Po pomnożeniu przez nakład dziennika równa się to rocznemu zużyciu papieru na nalepki do chleba w naszym mieście. Skórka za wyprawkę!

To coś tak, jak z zarządzeniem premiera, zakazującym przesyłania życzeń noworocznych przez instytucje, gwoli oszczędności papieru. Zarządzenie bardzo słuszne, ale — nie wiadomo dlaczego — jego ogłoszenie w Monitorze nie wystarczy. Wszystkie szczeble po kolei powielały to zarządzenie celem przesłania szczeblom niższym, oczywiście — czym niżej, tym większy nakład. Zrobiło się z tego setki, jeśli nie tysiące, ton papieru. Czysty surrealizm!

Na łamach „Życia Warszawy" Jerzy Ćwiękała przeciwstawia się Danucie Zagrodzkiej „w temacie druki formularze" (styl autora). Przeciwstawia się, ale właściwie mówi prawie to samo: formularze mają służyć do udoskonalenia i zracjonalizowania niezbędnej pracy biurokratycznej, nie są wcale przekleństwem, chociaż zgodziłbym się z Zagrodzką, a wbrew Ćwiękale, że są „złem koniecznym", a więc czymś co trzeba ograniczać do minimum. To powinien być absolutny dogmat: ograniczać druki i formularze do minimum, a w tym celu zaprojektować je tak, aby jednego formularza nie trzeba było natychmiast uzupełniać drugim. Eliminować z nich pytania głupie i nie mające nic wspólnego z zakresem spraw, któremu ma służyć dany formularz. Nie pytać (mówię „na rybkę") o panieńskie nazwisko matki we wniosku o miesięczny bilet tramwajowy... Stop! A po co taki wniosek? Po co tysiące różnych pisemnych wniosków o najmniejsze świadczenie, o byle co, na każdym kroku?

Ćwiękała jest fachowcem od dobrych formularzy, tak jak są fachowcy od budowy dobrych parkanów. O ileż piękniejszy jest jednak krajobraz bez parkanów! Gdzie są fachowcy, którzy wskażą nam parkany do rozbiórki?

ĆWIEK

SPORT

PAT

Ktoś bardzo trafnie, nie pomnę już kto, porównał rzymskie spotkanie reprezentacyjnych jedenastek Polski i Włoch do partii szachów rozegranych między **Kazimierzem Górskim a Fulvio Bernardini.** Była to partia niezwykle interesująca, która jednakże zakończyła się p a t e m. W tym miejscu, Czytelnikom nie orientującym się w arkanach gry w szachy pragnę wyjaśnić, że p a t jest to taka sytuacja, w której żaden z partnerów nie może dać drugiemu mata. Partia szachów pozostaje nierozegrana, a partnerzy dzielą się wzajemnie punktami. Coś takiego stało się również na stadionie w Rzymie.

W pomeczowych komentarzach powtarzało się ciągle zdanie o sukcesie, który bierze się stąd, że wynik nas z a d o w a l a. Jest to typowe dorabianie teorii do faktów. Gdyby Grzegorzowi Lacie, Andrzejowi Szarmachowi, Kazimierzowi Deynie lub Robertowi Gadosze udało się strzelić gola, specjaliści od dorabiania teorii do faktów wymyśliliby na poczekaniu inną formułę. Ale tak naprawdę, osiągnięty w Rzymie wynik z a d o w a l a nas jedynie dlatego, że — jak to przyznał Kazimierz Górski — nasza drużyna była przygotowana **nie na 100 procent, ale na 60 lub 70 procent.**

Polska jedenastka ma na swoje usprawiedliwienie zarówno różnicę klimatu, jak i początek sezonu piłkarskiego. W Rzymie świeciło słońce i było ponad 20 stopni ciepła, podczas gdy naszą pogodę dobrze znamy choć z powszechnego łamania w kościach. Włoscy piłkarze do meczu z Polakami rozegrali lekko licząc około 50 spotkań, gdy Polacy mają ich za sobą niewiele ponad dziesiątkę. Poza tym Włosi bali się Polaków wyraźnie i więcej uwagi przykładali do pilnowania swoich rywali niż atakowania bramki Jana Tomaszewskiego. Ale dobrze kondycyjnie przygotowany piłkarz nie boi się takiego pilnowania i zawsze znajdzie sposób, aby uciec swemu aniołowi stróżowi.

Oglądałam w niedzielę eksperymentalny — jak to powiedział nieoceniony Jan Ciszewski — program telewizyjny i choć zupełnie nie wiem na czym polegała jego eksperymentalność, to w opiniach wypowiedzianych przed kamerą uderzyły mnie dwie sprawy. Pierwsza — kiedy przyznano, że Polski Związek Piłki Nożnej poszedł na rękę klubom. I druga — kiedy Kazimierz Górski stwierdził, że jest niezadowolony z gry **Antoniego Szymanowskiego,** gdyż w reprezentacji gra on na pozycji prawego obrońcy, a w swoim macierzystym klubie — na pozycji stopera. Kazimierz Górski przyznał, że albo zmusi się klub do takiego ustawienia Antoniego Szymanowskiego, żeby jego pozycja w drużynie klubowej odpowiadała pozycji w reprezentacji, albo... poszuka się innego rozwiązania.

Mogę się zgodzić, że wynik przywieziony z Rzymu m u s i nas zadowalać, bo innego już wyjścia nie ma, ale trudno mi przejść do porządku dziennego nad niektórymi stwierdzeniami z „eksperymentalnego" programu Jana Ciszewskiego. Moim zdaniem byłoby znacznie lepiej powiedzieć, że to nie PZPN „poszedł na rękę klubom", ale po prostu nie miał sił i możliwości sprzeciwić się klubowym planom. Nie od dziś wiadomo, że międzykontynentalne rajdy piłkarzy może i są zasłużoną nagrodą za ich wysiłek, ale nic nie mają wspólnego z przygotowaniami do sezonu. Przykładu chorzowskiego **RUCHU** nie trzeba chyba przypominać.

Kazimierz Górski znajduje się w sytuacji, w której przygotowanie kadrowiczów do udziału w reprezentacji musi składać na barki klubów. Ale **kluby bardziej kierują się własnymi partykularnymi interesami niż interesem polskiej piłki nożnej.** Nie zazdroszczę sytuacji, w jakiej znajduje się PZPN, ale myślę, że warto przypominać stale tym i owym, że polska drużyna narodowa j e s t nadal **trzecią drużyną świata,** a to zobowiązuje. I aby tę pozycję utrzymać potrzeba żelaznej konsekwencji w realizacji programu szkolenia, a nie „chodzenia klubom na rękę". Stanowisko krakowskiej **WISŁY** w obsadzeniu Antoniego Szymanowskiego w piłkarskiej drużynie — sprzeczne z założeniami ekipy PZPN — jest chyba skandalem nie mniejszym od skandali, jakie dzieją się w polskim hokeju.

Oczekiwaliśmy zwycięstwa w Rzymie, m u s i m y zadowolić się remisem. **Obiektywna ocena** tego spotkania, jaką Kazimierz Górski zaprezentował dziennikarzom, napawa optymizmem o tyle, że pozwala mieć nadzieję na likwidację braków, występujących jeszcze w grze naszej reprezentacji. Do jesieni pozostało sporo czasu i myślę, że **PZPN nie pozwoli go zmarnować.** Po mistrzostwach świata Holendrzy bardzo żałowali, że nie mogli spotkać się z naszą jedenastką piłkarską. Teraz będą mieli okazję. Nie będzie to łatwe spotkanie, ale sprawę z tego muszą zdawać sobie nie tylko ludzie odpowiedzialni za szkolenie piłkarzy w PZPN.

Na zakończenie chciałabym pogratulować udanego debiutu **Henrykowi Wawrowskiemu** ze szczecińskiej **POGONI.** Robił na boisku więcej niż niejeden rutynowany piłkarz o głośnym nazwisku. To też powinno niektórym wiele dawać do myślenia. W następnych partiach szachów, jakie rozgrywać będzie Kazimierz Górski nie może być p a t a.

BOGDA MADEJ

MAGAZYN

ODGŁOSY

Szalenie lubimy pakować na grzbiet słoniowi, który się nam napatoczy, tzw. sprawę polską. Nawet sprawę... erotyzmu, która wybuchła na całym świecie, choć teraz opada, co podaję ku uspokojeniu purytantów i moralistów.

Słynny Andrzej Banach także swoją książkę zatytułował „Erotyzm po polsku". Przypomina mi to pewien sklepik z krawatami, reklamujący się szumnym szyldem: „Krawat Polski". A więc i erotyzm po polsku. A może po prostu po ludzku?

Ten panabanachowy „Erotyzm po polsku" ma tylko jedną, prawdziwie swojską cechę. Broszurowana książeczka kosztuje aż 130 złotych i — aby nie ranić serc obrońców moralności — nie uwidoczniono w niej wysokości nakładu. A poza tym jest to normalny esej o erotyzmie, ciekawy, erudycyjny, bogato zdobiony w reprodukcje rozebranych pań. Czemu tylko pań?

Książka Andrzeja Banacha dziś jest już tylko mitem — kupić ją trudno. Ponieważ jednak wiemy, że zainteresowanie tymi sprawami („te rzeczy" — jak mawiał Gałczyński) wciąż jest w narodzie przeogromne, skorzystajmy z dzieła krakowskiego eseisty, aby przypomnieć co nieco naszej erotycznej klasyki poetyckiej.

Zacznijmy od **Adama Naruszewicza** (1733-1796), skądinąd jezuity, który teologię studiował w Lyonie, a wykładał w Wilnie. Pod koniec życia był nawet biskupem. I oto czterowiersz tego wesołego księdza:

„Bądź pewny, gdy twój palec będzie w tym sygnecie
najwierniejszą twą żoną będę na tym świecie,
to mówiąc rękę jego do siebie prowadzi
i w klejnot palec średni głęboko osadzi".

Naruszewicz — poeta prawdziwy, nie uznawał wulgarnej dosłowności. Pisał więc tak:

„Na tak piękną rzecz patrzy i co żywo się bierze
do spódnicy, pytając, czy porosło w pierze
bujne na ptaku? czy ma spory ogon, czyli
zda się do rozmnożenia, czy do krotochwili".

Stanisław Trembecki (1739-1812), a więc współczesny Naruszewiczowi, poeta i szambelan Stanisława Augusta, jako człowiek świecki mógł już w swej poezji bardziej pofolgować:

„Z róży kolanka, z alabastru cuda.
Przy ślicznych ustach swe usta położył
sześć razy skonał i sześć razy ożył.
Klimenta grotem miłości wskroś tknięta
odnosi w górę zamdlone oczęta,
Krzyk z pomieszaniem miłuchnej twarzyczki
świadczy, że szczupłe do miłości drzwiczki".

Młodszy od wymienionych wyżej **Franciszek Dionizy Kniaźnin** (1750-1807), zresztą wychowanek jezuitów w Witebsku, poeta i pisarz dramatyczny — miał do erotyzmu dystans bardziej ironiczny:

„Raz jezuita po macku idący
Namacał bobra u dziewicy śpiącej.
Ta odeckniona zawoła nań, hola
takiej misji nie kazał Loyola".

Jak wiadomo, Loyola był założycielem zakonu jezuitów. Także jezuitą był **Franciszek Bohomolec** (1720-1784), ba, studiował nawet teologię w Rzymie. Dla konwiktów jezuickich pisywał utwory teatralne, ale popełnił także głośną swego czasu pieśń pt. „Wab powszechny". Oto fragment:

„W adwent, w suchedni, tak jak w zapusty
Śpiewają wszyscy sercem i usty.
Hej wiwat, wiwat ten luby kątek
Z którego życia mamy początek".

Gwoli prawdzie naukowej dodajmy, że wśród historyków istnieje spór na temat autorstwa „Wabu powszechnego". Roman Kaleta w swej książce „Sensacje z dawnych lat" twierdzi, że pieśń tę napisał szambelan Stanisława Augusta, Franciszek Woyna. Pisze R. Kaleta: „Ksiądz Bohomolec nie stronił wprawdzie od kielicha i od zabaw (...) trudno wszakże posądzić go o to, aby porwał się na temat, nie licujący z powagą wybitnego moralisty i osoby bądź co bądź duchownej".

Niby racja, ale cytowane wyżej teksty też wyszły spod piór osób duchownych, którym stan ten nie przeszkadzał wcale w pisaniu frywolnych wierszyków.

Zostawmy więc spory i przypomnijmy **Juliana Ursyna Niemcewicza** (1757-1841). Ten przynajmniej nie wychował się u jezuitów, lecz w Korpusie Kadetów. Napisał kiedyś tak:

„Niżej piersi wysmukłych brzuszek wypłaszczony,
uda młodzieńcze, boczek gładki z obojej strony.
Przycisnąłem ją nagą aż do mego ciała
resztę wiesz. Spoczęliśmy zemdleni oboje.
Bodajbym często takie miał w południe znoje".

Jeśli ktoś sądzi, że wieszcz Adam wolny był od tych spraw — to się głęboko myli. Oto fragment wiersza **Mickiewicza**, cytowany w przywołanej tu już książce R. Kalety:

„Gdy się pozwoli do łona przytulić
I lica swoje całusami skrapiać,
W gwałtownej żądzy trzeba się rozczulić,
Bo żar wypełnia me członki, mą duszę.
Goreję cały i wyznać to muszę,
Że rad bym tylko oblapiać, oblapiać".

Wiele uroku mają te wiersze — zwłaszcza te XVIII-wieczne znajdujące się w rękopisach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. W wieku XIX było już inaczej. Pisze Andrzej Banach: W tym stuleciu słynnym naszym erotologiem był Aleksander Fredro. Wtajemniczeni wiedzą, że Fredro pisywał wiersze nieprzyzwoite, a nawet sztuki. (...) Jednak wobec osiemnastowiecznej erotyki dworskiej, ta erotyka szlachecka rozczarowuje, nie ma czaru, jest obozowo-żołnierska, dosadna, bezpośrednia, ciężka. Rękopis „Ossolineum" zawiera trzy sztuki Fredry, z których pierwszej nawet tytułu podać nie można..."

Jeszcze inaczej było w początkach wieku XX. W książce Banacha znajdujemy, na przykład, sztambuchowy wierszyk Boya-Żeleńskiego, wpisany do pamiętnika znajomej aktorki:

„Nie byłem nigdy cynikiem
nie sięgam zbyt wysoko.
Lecz chciałbym być Twoim nocnikiem
I na dnie mieć jedno oko".

Otóż to! Zabawa zaczyna się robić „gruba", traci na lekkości. Ale tradycja jest. W swoim czasie przeczytałem w czasopiśmie „Nowy Wyraz" taką poetycką deklarację poetyki, Marianny Bocian. Napisała ona: „Dziś szczęśliwi tylko ci mężczyźni — orzący ugory macic".

Nie posądzam p. Bocian o plagiat, ale nie mogę się oprzeć zacytowaniu jeszcze jednego XVIII-wiecznego fragmentu. Autorem jego — wspomniany tu już Franciszek Dionizy Kniaźnin:

Skarga wdowia

„Języki ludzkie do siebie to mają
że źle czy dobrze o ludziach gadają.
Mówią, że czyjś pług bywa w mej roli
gdy mój grunt orzą, niech sąsiada nie boli".

Powtarzam więc — tradycja erotyzmu jest w polskiej poezji bogata. Nie tylko w poezji zresztą, w ogóle w sztuce. I chociaż w „Słowniku terminów literackich" między hasłami „erotyk" (utwór liryczny) i „errata" brak hasła „erotyzm", to przecież on istnieje. Bez względu na mody i tendencje, bez względu na eksplozję seksu i inne doraźne fascynacje.

A czymże jest erotyzm? Któż to wie na pewno? Jest z pewnością swobodą wyboru, jest jak mówią Francuzi — małą śmiercią, silniejszą od snu i słabszą od śmierci, jest ostatnią szansą własnej przygody i prywatnej mitologii, jest czystym dziełem niewinnej wyobraźni... Któż wie, czym jeszcze? Może wszystkim razem, a może — jak pisze Andrzej Banach — dla każdego istnieje inny erotyzm. A więc pozostańmy przy tym — erotyzm to życie.

JERZY WILMAŃSKI

EROTYZM PO POLSKU

Fot. Archiwum

POWIĘKSZENIA

Z GRUBEJ RURY...

Reporter łódzkiej rozgłośni PR, pan Chutek bądź Hutek (w radio nie potrafią oddać subtelnej różnicy między „h" dźwięcznym a „ch" bezdźwięcznym) — jest reporterem wielofunkcyjnym. Ostatnio relacjonował nam jak robił karierę w charakterze aktora — teraz wystąpił jako znawca literatury.

Pan Chutek (bądź Hutek) nakrzyczał na Krzysztofa Skudzińskiego i Wydawnictwo Literackie za książkę „Rekolekcje dla głuchoniemych. Zrobił to mniej więcej w tym stylu w jakim reporter miejski krytykuje dozorców za brudy przed posesją. Ale pan Chutek (bądź Hutek) popisał się jeszcze erudycją, wymieniając dziesięć do piętnastu nazwisk różnych autorów (z księdzem Baką włącznie), z których ściąga rzekomo Krzysztof Skudziński. Ponadto pan Chutek (bądź Hutek) udzielił nagany Wydawnictwu Literackiemu za opublikowanie tej skandalicznej książki.

Przypominamy nieśmiało, że nie gdzie indziej, ale właśnie na antenie łódzkiej rozgłośni PR mówiono w swoim czasie bardzo pochlebnie o debiucie Skudzińskiego. Jest to książka przewrotna i oryginalna — nie wykluczone więc, że pan Chutek (bądź Hutek) nie bardzo mógł jej uroki i zalety przyswoić. Nie powód to wszakże, aby obrzucać epitetami. Uważamy więc, że nie będzie ze szkodą dla krytyki literackiej, jeśli pan Chutek (bądź Hutek) zajmie się raczej robieniem kariery aktorskiej. Jeśli już musi „robić w sztuce".

SENSACJA W TELEWIZJI

Przed tygodniem telewidzowie obejrzeli kolejną sensację na ekranach TV. Oto ukazał się komentator sportowy, **red. Tomasz Hopfer.** Było to sprawozdanie filmowe z wręczenia „Złotych Ekranów" za indywidualność telewizyjną.

W studio natomiast ciągle **Jan Ciszewski.** Bez „Złotego Ekranu".

PARA NIE PARA

„Dziennik Łódzki" donosi: **„O 100 procent zwiększają się tegoroczne dostawy kuchenek gazowych. Niestety, w parze nie pójdą za tym dostawy butli na propan-butan..."**

No i bardzo dobrze. Niedługo „Chełmek" zacznie produkować tylko prawe buty, a fabryki odzieżowe rzucą na rynek garnitury bez spodni.

Para nie para, a na końcu d w a. Z myślenia.

SPECJALIZACJA

Ukazała się książka „Encyklopedia prawa dla ekonomistów". W przygotowaniu **„Encyklopedia ekonomii dla prawników".**

Dalsze plany przewidują: **„Encyklopedię zdrowia dla chorych"** oraz **„Encyklopedię chorób dla zdrowych".**

RÓŻA KOLE

Urodzona po wojnie reporterka **„Expressu Ilustrowanego"** pisze: **„Już mała Andzia z przedwojennego wierszyka doświadczyła, że zadawanie się z różami może mieć przykre skutki..."**

Wierszyk „Nie rusz Andziu tego kwiatka" napisał **Stanisław Jachowisz** zmarły ponad sto lat temu (1857). O którą więc wojnę reporterce chodzi? A może o Powstanie Styczniowe?

OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE

RYSOWAŁ JACEK BROMSKI

TEOFIL GOLECKI

BAJKI

ŻABA

Kiedy konia kują — ta podstawia nogę
Istny brak wyobraźni — pchać się w końskie stado,
Koń bowiem bez podkucia nie uda się w drogę,
Ale żaba z podkową pójdzie zaraz na dno.

Nie jest osamotniona — wiele takich stworzeń,
Które łapki mizerne kładą na kowadło
Myśląc, że tym zabiegiem odmienią się może...
Przez podobne złudzenia wiele głów już spadło.

PLUSKWA

To wyjątkowo paskudny owadzik,
Który krew ludzką lubi na śniadanie.
Pluskwy każdy się boi i każdy nią gardzi
I każdy przed nią zamyka mieszkanie.

Pluskwa twardy ma żywot i szybko się mnoży,
Więc najlepszym wyjściem — polubić owada.
Tylko to głupie wyjście, albowiem pasożyt
Tak czy owak będzie powoli nas zjadać.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00 wew 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 807. U-12. Nr indeksu 37006/36762